

PRZED stu sześćdziesięciu laty lud Paryża zdobył Bastylię, symboliczną twierdzę feudalnej przemocy i skostnienia. Otwierając nową kartę historii rewolucja francuska gwałtownie przyspieszyła bieg dziejów.

Honor narodom, które potrafią wskazywać drogę postępu i rozwoju całej ludzkości. W dniach wielkiej rewolucji Francja stała się pochodnią świata. Podjęta przez myśl francuską i lud Francji walka o wolność, równość i braterstwo od początku stała się sprawą nie tylko patriotów francuskich, lecz wszystkich przodujących ludzi wszystkich narodów. Wspaniałe dźwięki Marsylianki towarzyszyły pokoleniom bojowników walk wolnościowych, raz po raz rozbrzmiewały dumnie z barykad rewolucyjnych różnych narodów Europy i współbrzmiały z rodzącą się pieśnią wyzwolenczą proletariatu. Po dziś dzień, choć od zdobycia Bastylii ludzkość milowymi krokami poszła naprzód, Marsylianka jest drogą sercu wszystkich ludzi kochających wolność. Gdy przed siedmiu laty prezydent Ho-szi-min odwiedził Paryż — poprosił, by witające go dziesiątki wieśniaczkę i wieśniaczkę Marsyliankę. Bo jest to pieśń, która łączy narody.

W tym roku piękne święto lipcowe obchodzone jest w sytuacji niezmiernie ważnej dla sprawy pokoju, w chwili, gdy konferencja genewska wchodzi w swą decydującą fazę. Tym bardziej więc w dniu 14 lipca myśli nasze płyną ku Francji pełne będą serdecznych życzeń. Wiele bowiem zależy od narodu francuskiego, od jego postawy i woli.

Zakończenie wojny w Indochinach i zapewnienie narodowi wietnamskiemu wolności i prawa do demokratycznego i pokojowego rozwoju będzie miało olbrzymie znaczenie nie tylko dla pokoju w Azji. Nieszcześnie, ósmy rok już ciągnąca się „brudna wojna” jest zaprzeczeniem tej roli Francji w świecie, która ojczyźnie Wiktora Hugo przyniosła szacunek i miłość tylu narodów. Wojna indochińska, brutalnie łamiąc podstawowe prawa narodów do niepodległości równocześnie coraz bardziej osłabiała Francję i coraz ściślej wiązała ją i uzależniała od najbardziej reakcyjnych sił politycznych współczesności. Niestawami przywódcy polityczni, organizatorzy wojny indochińskiej, tacy jak Bidaud, Plevin, René Mayer czy Daniel sprawowali światową rolę Francji, „ojczyzny wolności”, do coraz posłuszniejszego narzędzia wojennej polityki Waszyngtonu, na platformę sojusznika gen. Franco i Adenauera w Europie, Czang-kai-szeka, Li-syn-mana i Bao-dai w Azji.

Naród francuski przed miesiącem odsunął od władzy ludzi, którzy aż nadto długo bezkarnie szargali dobre imię wielkiej ojczyzny. Istnieją wszelkie warunki, by nowy rząd francuski jeszcze w ciągu lipca zakończył wojnę indochińską. Istnieją też wszelkie warunki, by w niedługim czasie Francja odzyskała godne siebie miejsce w Europie i w świecie.

Utrwalenie pokoju, przełknięcie grozy zagłady cywilizacji przy pomocy bomb wodorowych i atomowych jest najważniejszym zadaniem wszystkich narodów. Historia uczy, że ostatnie wielkie wojny światowe rodziły się w Europie, że militarystycznym niemieckim był ich bezpośrednią przyczyną sprawcą. Powalony dwukrotnie za cenę niezmiernych cierpień i ofiar ludzkich militarystycznym niemieckim — wskrzeszony z woli Waszyngtonu, dziś znów podnosi głowę i zaczyna snuć swe awanturnicze plany. Uniemożliwienie odrodzenia się militarystycznego niemieckiego, uniknięcie podziału Europy na wrogie sobie bloki militarne staje się najpilniejszą sprawą.

„Europejska Wspólnota Obronna” dzieląc sztucznie nasz kontynent i stawiając na nogi militarystyczny niemiecki stanowi bezpośrednio zagrożenie pokoju. Od narodów europejskich, przede wszystkim zaś od Francji zależy, by nie dopuścić do realizacji tych złowrogich koncepcji. Sprawa pokoju wymaga zbliżenia do siebie narodów, wymaga łączenia ich wysiłków wokół wspólnych celów, coraz lepszemu poznawaniu się i coraz lepszemu rozumieniu, a nie sztucznego dzielenia, oddalania i wrogości.

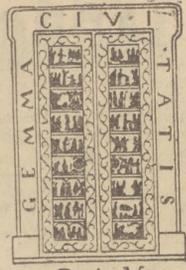
Naród polski od wieków złączony jest więzami przyjaźni z Francją. Wiele zawdzięczamy kulturze i sztuce francuskiej. Nie raz ramię przy ramieniu walczyliśmy wspólnie przeciwko jednemu wrogowi: militarystycznemu niemieckiemu. Dziś łączą nas wspólne odpowiedzialności za bezpieczeństwo naszych narodów, których interesy często były z sobą zbieżne, łączą nas wspólna odpowiedzialność za bezpieczeństwo i pokój w Europie. Polska Ludowa złączona mocnym sojuszem ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej, dysponująca nowoczesną bazą przemysłową i silną wewnętrznie jest dla Francji sojusznikiem wielokrotnie cenniejszym od Polski z lat międzywojennych, skłóconej ze swymi sąsiadami, osamotnionej, słabej gospodarczo i politycznie. Mimo że różny był kierunek rozwoju naszych krajów w okresie powojennym, świadomość więzów łączących nas z Francją jest w Polsce powszechna i przybys z Paryża jest zwykle zaskoczony, jak wielu ludzi u nas zna język francuski, jak wielu ludzi śledzi rozwój kultury i wewnętrznych spraw francuskich. Chcielibyśmy, by stosunki nasze z Francją były znacznie bliższe i znacznie szersze niż było to możliwe w ostatnich latach. Różnice ustrojów, jeśli towarzyszy im zasada wzajemnego szacunku, nie mogą oddalać od siebie narodów. Naród polski wraz z innymi narodami Europy odpowiedzialności za przywrócenie jedności Europy. Okiełznanie militarystycznego niemieckiego, wspólna troska o los pokoju i bezpieczeństwa Europy w najmniejszym stopniu nie ogranicza własnych sojuszy ani własnych koncepcji rozwoju poszczególnych narodów. Szeroka dyskusja narodów europejskich z udziałem przedstawicieli pozauropiejskich wielkich mocarstw powinna doprowadzić do porzucenia planów niosących ze sobą groźbę wojny i do wspólnego zagwarantowania pokoju.

Dzień 14 lipca, narodowe święto Francji, jest dniem uroczystym dla ludzi, którzy kochają wielki naród francuski i którym droga jest sprawa postępu i braterstwa między narodami. W dniu tym lud paryski, potomkowie zdobywców Bastylii, siostry i bracia bohaterów resistance, tańczą na ulicach i placach Paryża. Niech w tym radosnym momencie dotrą doń nasze serdeczne życzenia i nasz okrzyk z Polski i Warszawy: Niech żyje Francja.

P. S. W chwili kończenia numeru dowiedzieliśmy się, że ministerstwo spraw wewnętrznych Francji zakazało przeprowadzenia tradycyjnej manifestacji 14 lipca. Trudno nie spojrzeć, że nagły ten zakaz zbiega się z równie nagłym przyjazdem Dullesa do Paryża. Nie ulega wątpliwości, że administracyjna presja nie zmieni uczuć narodu francuskiego, jego przywiązania do wolności, demokracji i pokoju.

(Dokończenie na str. 2)

DZIS i JUTRO



* P A X *

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI

JEAN MARIE DOMENACH

KOMUNIKAT

Jury nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka — na wniosek kolegium redakcyjnego „Dziś i Jutro” postanowiło przyznać specjalną nagrodę w wysokości 15 000 zł naczelnemu redaktorowi miesięcznika „Esprit”, sekretarzowi Międzynarodowego Komitetu dla Pokojowego Rozwiązania Problemu Niemieckiego,

Panu Jean Marie Domenach

za ofiarną działalność w obronie pokoju, za walkę przeciwko ratyfikacji układów z Bonn i Paryża dzielących Europę na wrogie sobie bloki, za wkład w dzieło pokojowego zbliżenia wszystkich narodów europejskich.

Jury podkreśla z tej okazji wagę udziału francuskich środowisk katolickich we wspólnej walce o pokojowe rozwiązanie zagadnienia niemieckiego, udziału szczególnie cenionego przez naród polski złączony z narodem francuskim nierozdzielnymi więzami przyjaźni i wspólnych interesów narodowych.

Jury pragnie także uwydatnić w swej decyzji zarówno osobisty wkład Jean Marie Domenach, jak i wkład redagowanego przezeń miesięcznika „Esprit” do ogólnoeuropejskiego ruchu w obronie cywilizacji ogarniającego niezależnie od odrębności światopoglądowych wszystkich ludzi dobrej woli.

W całej swej działalności — zarówno na terenie redakcji „Esprit”, jak i w zewnętrznych wystąpieniach — jest Domenach przede wszystkim działaczem politycznym, wyczulonym na bezkompromisowe bronienie spraw, które mu się wydają moralnie słuszne. Tę szybkość reakcji swego sumienia politycznego bez wątpienia zawdzięcza Domenach szkole Mouniera. Dzięki niej też należy Domenach do zaszczytnego grona francuskich działaczy politycznych, którzy zaciebie bronią honoru i sumienia narodu francuskiego przed zakusami potężnej fali zakłamania i obłudy nacierającej od lat na francuskie życie polityczne.

Ta sama chyba szkoła personalistyczna każe Domenachowi wybierać przede wszystkim formy indywidualnego działania; działa w ten sposób grono intelektualistów broniących na różnych polach własnie wrażliwości francuskiego sumienia w życiu publicznym. Nie jest naszym prawem wydawać tu oceny takiej a nie innej metody politycznego działania — tak jak nie chcemy tu podejmować się zadania konfrontacji poglądów Domenacha i naszych. Jesteśmy natomiast przekonani, że właśnie we Francji, gdzie autorytet intelektualny ceniony jest bardzo wysoko, wystąpienia współredaktora „Esprit” odbijają się głębokim echem we wszystkich wrażliwych sumieniach i waleń pomagają w ciężkiej walce, jaką toczy dziś naród francuski o swą przyszłość, o swą postawę społeczną i polityczną.

Z bogatej działalności Jana Marii Domenacha wysunąłmy przede wszystkim dwie dziedziny — specjalnie ważne, specjalnie płodne, a specjalnie trudne i odpowiedzialne: walkę przeciw kolonializmowi oraz walkę o właściwą politykę francuską w sprawie niemieckiej.

Parę dni temu prasa francuska doniosła o rezolucji, którą uchwalilo grono francuskich intelektualistów w obronie Gwatemali napadniętej przez najemne zoddactwo amerykańskiego kapitału. Z radością, ale bez zdziwienia znaleźliśmy wśród podpisów nazwisko Domenacha. Nie pierwszy to raz zabiera on głos w obronie ludów — białych czy kolorowych — walczących o swą niepodległość. Wielokrotnie słyszeliśmy jego głos w obronie narodów Indochin i honoru Francji haniebnie zaangażowanej w obronie interesów garstki kolonialistów; słyszeliśmy ten głos w obronie czarnych działaczy Madagaskaru skazanych w oszukiwanym procesie, który poruszył całą francuską opinię; słyszeliśmy go także w obronie Tunisu i Marokku; niedawno zaś — na wlecu przeciw wszelkim rasizmom i kolonialistycznym zapędom.

To dzięki odważnej postawie takich właśnie intelektualistów jak Domenach — francuskie sumienie społeczne reaguje coraz żywiej na nadużycia i zbrodnie kolonializmu. Pomyślmy bowiem, że pokolenia Francuzów były chowane na takim pojęciu patriotyzmu, który automatycznie za punkt honoru narodowego stawiał władztwo Francji nad ludami kolorowymi. Przez lata imperium kolonialne było przedstawiane jako szczytne dzieło niesienia kultury zacofanym i nieszczytliwym tubylcom. Zdobywcy tego imperium — od generała Bugaud do Generała Lyautey — uchodzili za bohaterów narodowych właśnie dlatego, że byli uosobieniem idei kolonializmu. Dziś patriotyczna frazeologia kolonializmu została doszczętnie rozgromiona i wielka w tym jest zasługa takich, jak Domenach. Tym bardziej ją doceni-

my, że nie ogranicza się Domenach do moralnego potępienia kolonializmu, lecz pokazuje w sposób niezmiernie sugestywny ścisły związek między dzisiejszym kolonializmem a próbami zdradzenia interesów narodowych francuskich na odcinku europejskim:

„Nacisk urzędowego kłamstwa osiąga w chwili obecnej tę samą siłę, co w latach 1940 i 1941 — pisał Domenach w dnach marokańskiego zamachu stanu kolonialnego w zeszłym roku. — Kto podda analizie język urzędowych komunikatów (oświadczenie ministerialne, wiadomości agencji prasowej, bzdury radiowe), odnajdzie tam to samo nadużywanie patriotyzmu, tę samą prostytucję świętości, odwrócenie prawdy i wartości, które, w naszym kraju, od czasów Monachium towarzyszyły hitlerowskiej ekspansji i przygotowywały jej zwycięstwo. Tak jak wówczas, gdy chodziło o zdradzenie Czechosłowacji, zaparcie się traktatu było podnoszone do rangi narodowego zwycięstwa. Tak jak wówczas — gwałt nazywa się bezpieczeństwem, a terror — utrzymaniem porządku!”

I rzuca Domenach dalekowszostne ostrzeżenie:

„Gdyby kiedykolwiek polityka prawnicowego rządu miała zmusić robotników do nowych masowych strajków, marokański scenariusz może się ponownie okazać użyteczny. Znalazłby on potężne oparcie, a może po prostu bazę wypadową w tej Afryce północnej, którą się dziś unieruchamia totalistycznym porządkiem!”

Domenach bowiem nigdy nie zapomina o ścisłym związku istniejącym między prawdziwym, zdrowym patriotyzmem a politycznymi interesami swego narodu. Dokonuje on po prostu głębokiej rewizji pojęcia patriotyzmu oczyszczając go od nalotu pojęć narzuconych przez faszystów, broniąc się jednocześnie przed pokusami kosmopolityzmu, którym francuskich intelektualistów kokietują dziś amerykańscy politycy.

„Jest dziś w dobrym tonie — powiada Domenach — aby twierdzić, iż pojęcie ojczyzny uległo devaluacji. Ci, którzy tak twierdzą, zagubili zapewne, z wysokości swych stratosferycznych biur, kontakt z prawdziwą ojczyzną. Lud jednak wie dobrze, co najmniej z praktyki, że właśnie ci, dla których ojczyzna uległa devaluacji, z niepokojącą łatwością oddają się w służbę obcych państw. Dewaluacja ojczyzny może doskonale osłabić solidarność kapitalizmu w tej samej mierze, w jakiej odnowienie patriotyzmu może wyrażać solidarność klas robotniczych”.

I właśnie dlatego, że Domenach tak dobrze rozumie oszukiwaną treść współczesnego kosmopolityzmu, potrafi on niezaprzeczalnymi argumentami ujawnić nicieść „europejskości” w wydaniu adenauerowsko-amerykańskim.

Jeszcze w roku 1948 przestrzegał Domenach Francuzów:

„Europejski federalizm zakłada rezygnację z planów narodowych na rzecz planu europejskiego. Jest to piękne w teorii. W rzeczywistości oznacza to po prostu rezygnację z dotychczasowych sporadycznych

NIE jest łatwym zadaniem przedstawić polskiemu czytelnikowi naczelnego redaktora „Esprit”, sylwetka jego bowiem — zarówno fizyczna, jak i intelektualna — jest typowo francuska. Drobny, czarny, nerwowy; błyskotliwy i zjadliwy, publicysta o dużej, humanistycznej erudycji; działacz polityczny niezmiernie oddany do serwitutu smutnych hipotek, zapisanych na jej koncie przez zwyrodniałe ideologiczne i moralnie ruchy polityczne.

W okresie powojennym nazwisko Jana Marii Domenacha pojawia się na karcie tytułowej „Esprit” obok nazwiska twórcy i kierownika tego czasopisma francuskiego — Emanuela Mouniera. Zestawienie tych nazwisk jest niezwykle znaczące i nie wymaga dla polskiego czytelnika katolickiego szczególnych komentarzy. Dzieło Emanuela Mouniera i ruch stworzony wokół miesięcznika „Esprit” odbiły się głębokim echem w Polsce wśród młodego pokolenia katolików. Jeśli przed wojną o „Esprit” i jego personalistycznych teoriach mawiano się na ogół tylko w kołach wzmianczonych, to w okresie powojennym myśl tę znalazły w Polsce — w jakimś mieście duży oddźwięk. W jakimś mieście spowodowała to wizyta samego Mouniera w Polsce, który, z odważną charakterystyką całą jego działalność, pojawił się u nas w kraju jako pierwszy gość katolicki w chwili, gdy na zachodzie wroga propaganda już próbowała całkowicie odizolować opinię publiczną od naszego życia. Emanuel Mounier odwiedził Polskę w roku 1946, Polskę jeszcze pełną powojennego chaosu, toteż nawiązał osobiście tylko przypadkowe kontakty z pol-

skimi katolikami; niemniej przecież wiadomość o jego pobycie szeroko rozeszła się po kraju i wzbudziła duże zainteresowanie jego dziełem. Powodzenie „Esprit” i jego ruchu w Polsce jest w znacznej mierze osobistą zasługą Emanuela Mouniera; trzeba jednak stwierdzić, że katolikom polskim otwarły oczy na postępową myśl zachodnią przede wszystkim własne przeżycia społeczne i polityczne. Toteż od roku 1945 trwa nieprzerwanie dialog między wszystkim co postępowe w katolickiej myśli zachodniej, a naszymi własnymi osiągnięciami ideowymi. „Esprit” pozostaje do dziś jednym z trwałych elementów tego dialogu i niewątpliwie wpływa na to działalność Jana Marii Domenacha, który obok Alberta Béguin, następcy Mouniera na stanowisku dyrektora wydawnictwa, kieruje linią ideową i polityczną tego pisma.

„Esprit” nigdy nie przyznawało sobie miana pisma katolickiego; chciało zawsze zachować dla siebie płaszczyznę ruchu, w którym spotykają się ludzie różnych wyznań w imię wspólnych ideałów chrześcijańskich. W tej samej mierze o Janie Marii Domenachu można powiedzieć, iż nie ubiega się on o miano działacza katolickiego. Jest raczej działaczem politycznym i społecznym o katolickim światopoglądzie, lecz świadomie szukającym wyjścia poza krąg ludzi i spraw ściśle katolickich. Wynika to zarówno z jego temperamentu — przede wszystkim politycznego — jak też (z konieczności rzeczy) i z ograniczonej strefy oddziaływania środowisk typowo katolickich we Francji, kraju mocno zdechrystianizowanym.

zwycięstw nad naszymi narodowymi kapitalizmami na rzecz europejskiego super-kapitalizmu, który by, oczywiście, znajdował się pod pełną kontrolą amerykańskiej finansjery".

W roku zaś 1953 — precyzuje swe stanowisko jeszcze jaśniej:

„Zjednoczenie Europy, które się rzekomo buduje dla dobra ludów, nie chce mieć nic wspólnego z klasami robotniczymi”.

Jego sprzeciw w stosunku do „wspólnoty europejskiej”, „armii europejskiej” i wszelkich innych kombinacji politycznych — uporczywie narzucanych Europie przez dyplomację amerykańską — wywodzi się właśnie z tych podstawowych zasad patriotyzmu pojętego nowoczesnie i z osobistą dobrą wolą rozumienia interesów mas pracujących.

Wielokrotnie przypomina Domenach w swych wypowiedziach, że polityka amerykańska w sposób nieuchronny prowadzi do zobowiązań militarnych wobec zachodnio-europejskiego rewizjonizmu, że przystąpienie Francji do „armii europejskiej” może pchnąć francuskiego żołnierza, wbrew jego najoczywistszym interesom, do walki o przywrócenie panowania germanizmu na wschód od Odry i Nysy.

„Cokolwiek by zrobili politycy francuscy — pisał on niedawno — w oczach amerykańskich generałów i demagogów nie będą oni nigdy uchodzić za tak pewnych sojuszników, jak kanclerz Adenauer, Jakub Kaiser, jak weterani ze wschodniego frontu. Hasło wyprawy krzyżowej prowadzi Francję nieuchronnie do zgniecenia między Stanami Zjednoczonymi i germanizmem. Rzekoma „Wspólnota europejska obrony” nie jest niczym innym, jak osiá niemiecką — amerykańską, której sily główne są w Stanach Zjednoczonych a strażą przednią — niemiecki rewizjonizm”.

„Alternatywą do „armii europejskiej” nie jest remilitaryzacja Niemiec” — wyjaśnia. „Alternatywą do armii europejskiej jest po prostu inna polityka, która by przede wszystkim wybrała neutralizację Niemiec”.

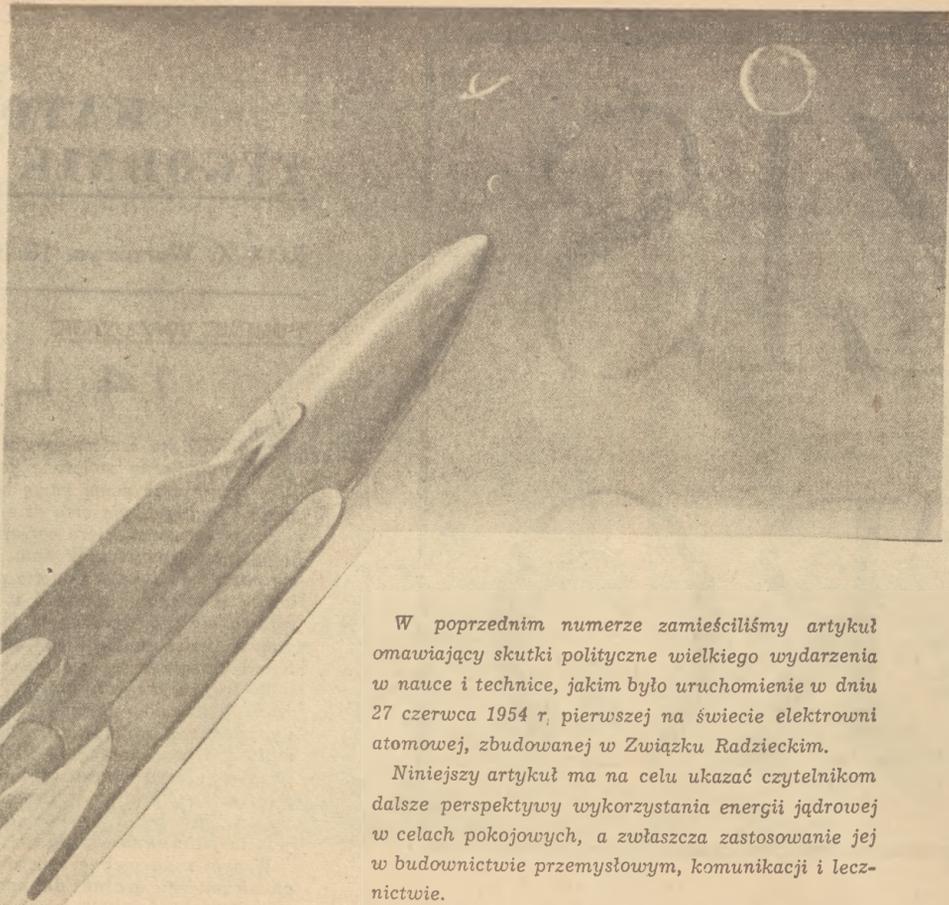
Jesteśmy co do tego wniosku w całkowitej zgodzie z Domenachem. Jesteśmy również jednego zdania, gdy Domenach precyzuje zobowiązania prawdziwego Europejczyka w stosunkach do współczesnych Niemiec.

„Jest niesprawiedliwością twierdzić, że u podstaw wrogości do „wspólnoty europejskiej” leży uczucie nienawiści do Niemiec. Można kochać Niemcy w różny sposób. Jeden polega na upominaniu się o jedność narodu niemieckiego i o stosowanie środków zabezpieczających przed jego ulemięceniem starym pokusom. Drugi — to pchnąć go do koszar; w tym wypadku lepiej Niemców po prostu nienawidzić, niż wraz z ich nieszczęśliwym spowodować i nężyć. Podczas różnych spotkań obradujących przeciwko wspólnotie europejskiej, w których brałem udział, ani razu nie usłyszałem okrzyków nienawiści w stosunku do Niemiec; przeciwnie, jeśli wielu z nas zaangażowało się w tę walkę, to przede wszystkim przez solidarność wobec naszych przyjaciół, wolnych ludzi w Niemczech, których nie zamierzamy ponownie porzucić”.

Tak jak zwykle bywa między przyjaciółmi — są sprawy, które nas z Janem Marią Domenachem dzielą i są takie, które nas łączą. Jeśli dziś kładziemy tak mocny akcent na to właśnie, co nas łączy, to dlatego, że łączą nas te sprawy, które najbardziej bezpośrednio dotyczą życiowych interesów i możliwości pokojowego współżycia narodów Europy. O te wspólne sprawy walczą we Francji wytrwale Jan Maria Domenach i wraz z nim wielu innych wartościowych działaczy i myślicieli różnych poglądów. Wydaje się nam potrzebne i właściwe, by solidarność wszystkich ludzi walczących przeciwko niewoli kolonialnej, planom podziału Europy na wrogi sobie bloki, przeciw odbudowie odwetowego Wehrmachtu, przeciw obróceniu Europy Zachodniej w amerykańską kolonię i zamienieniu jej w nową bazę agresji — została manifestacyjnie podkreślona dla utrwalenia więzów wspólnej przyjaźni i wspólnego działania.

Wojciech Kętrzyński.

Następny numer tygodnika „Dziś i Jutro” ukaże się z datą 22 lipca b. r. w zwiększonej objętości 12 stron i poświęcony będzie problematyce Dziesięciolecia. P. o. ki Ludowej.



W poprzednim numerze zamieściliśmy artykuł omawiający skutki polityczne wielkiego wydarzenia w nauce i technice, jakim było uruchomienie w dniu 27 czerwca 1954 r. pierwszej na świecie elektrowni atomowej, zbudowanej w Związku Radzieckim.

Niniejszy artykuł ma na celu ukazać czytelnikom dalsze perspektywy wykorzystania energii jądrowej w celach pokojowych, a zwłaszcza zastosowanie jej w budownictwie przemysłowym, komunikacji i lecznictwie.

Redakcja

NIKTÓRZY utożsamiają wyzwolenie energii jądra atomowego z wyłanianiem potężnej tamy wodnej, która spowodować może powódź o skutkach katastrofalnych dla kultury ludzkiej. Taki stosunek do jednego z największych odkryć w historii ludzkości przypomina nam postępowanie naszych pierwotnych przodków, którzy w wypadku pożaru lasu uważali, że właściwiej jest z niego uciekać. W miarę rozwoju cywilizacji człowiek nauczył się jednak gasić płonący las i stał się wladcą ognia. My też musimy się stać wladcami energii jądrowej — musimy ją wrzucić w olbrzymie budownictwo pokojowe, a jeśli to osiągniemy, wówczas przemiany gospodarczo - społeczne będą tak wielkie, że będą mogły być tylko porównywalne z przemianami, jakie nastąpiły po odkryciu ognia.

W roku 1946 jeden z dziennikarzy zwrócił się do prof. Joliot-Curie, autorytetu w zakresie fizyki atomowej, z szeregiem pytań w tej kwestii. Wypowiedź prof. Joliot-Curie, udzielona w jeden rok po ataku na Hiroszimę, jest bardzo znamienita i do tej pory zasadniczo nie straciła na swej aktualności.

Zagadnięto go wówczas na temat twórczych możliwości energii atomowej.

Oto parę wyjątków z tej wypowiedzi: „Siuznie jest mówić nie o energii atomowej, lecz o energii jądrowej — sprostował na wstępie profesor — ponieważ energia, o której mówimy, wywołana jest z jądra atomowego... Przed uczoneymi technikami stanęła obecnie możliwość budowy urządzeń, które pozwolą wytwarzać energię w dowolnej ilości — energię, którą będzie można użyć do celów twórczych. Bomba atomowa starowi tylko jedno z możliwych zastosowań energii jądrowej — ale nawet i dla niej można przewidzieć zastosowania pokojowe. Będzie ona mogła być bez wątpienia stosowana do przebudowy profilu rozległych terenów, będzie mogła być czynnikiem regulującym klimat obszarów pustynnych przez wywoływanie obfitych deszczów, a więc będzie w stanie uczynić w krótkim czasie to, co praktycznie przewidziane jest na długie okresy czasu.

„Urządzenia umożliwiające wykorzystanie energii jądra atomowego pozwolą poza tym produkować w dużych ilościach pierwiastki promieniotwórcze, które znajdują liczne i cenne zastosowanie w przemyśle, biologii i medycynie. „Za wczesnie jest jeszcze mówić o motocyklach lub o samolotach atomowych, natomiast czas budowania dużych central atomowych wytwarzających energię elektryczną z energii jądrowej jest bardzo bliski”.

Znamienna wypowiedź uczonego francuskiego dokładnie scharakteryzowała drogę, po jakiej miał iść rozwój fizyki jądrowej w najbliższych dziesięciu latach po zakończeniu wojny. W tym bowiem okresie jednym z najważniejszych zagadnień inżynierii jądrowej stał się reaktor atomowy.

NAZWA reaktora atomowego lub stosu atomowego, quod libet, określamy układ, w którym odbywa się jądrowa reakcja łańcuchowa w sposób powolny i regulowany. Energia z reaktora atomowego jest pobierana pod postacią ciepła w ilościach ściśle kontrolowanych przez człowieka, i ta właśnie „kontrolowalność” reaktora odróżnia go zasadniczo od bomby atomowej, gdzie reakcja łańcuchowa rozwija się spontanicznie w sposób wybuchowy.

Przeprowadzenie naukowej a nawet technologicznej dyskusji na temat działania i typów reaktorów atomowych wymaga poważniejszego wprowadzenia w zagadnienia fizyki jądrowej; z tego względu dyskusja taka zostanie w tym artykule pominięta. Przedstawimy tylko ogólną zasadę reakcji łańcuchowej, jako podstawowej w urządzeniach generujących energię cieplną w stosie, i możliwości praktycznych zastosowań tych urządzeń.

Nazwa „reakcji łańcuchowej” dla zjawiska kolejnego pęknięcia ciężkich jąder atomowych została zapożyczona z chemii, gdzie przez reakcję łańcuchową rozumie się taką reakcję, której produkty mogą wstępować w związek chemiczny z materiałami wyjściowymi. W takich warunkach reakcja się wzmacnia.

Podobny mechanizm wzmagania reakcji łańcuchowej zachodzi przy lawinowym rozszczepianiu ciężkich jąder atomowych, a w szczególności — jąder atomu uranu w stosie. Przy rozszczepieniu jednego jądra następuje wyzwolenie potężnej energii 200 MeV i uwolnienie dwóch lub trzech swobodnych neutronów. Neutrony te zostaną wychwycone przez inne jądra atomowe uranu i wywołają ich rozszczepienie, które z kolei spowoduje uwolnienie nowych neutronów do dalszych reakcji. Liczba uwolnionych neutronów a z nią i liczba wytwarzanych rozszczepień jądrowych będzie stale wzrastać, reaktor zaś dostarczać będzie coraz to większej energii. Energia ta obok energii promienistej występuje w swej najbardziej zdegradowanej formie: energii cieplnej.

Energia cieplna otrzymywana w stosie to nic innego jak intensywny, beładny ruch cząsteczek chemicznych i atomów wchodzących w skład substancji zawartej wewnątrz stosu — ruch, którego energia jest powiększana stopniowo przez zderzenia z fragmentami pęknięcia jąder ciężkich. Fragmenty te będąc już jądrami innych pierwiastków (jak np. uranu) posiadają bardzo dużą energię kinetyczną, którą przez kolejne zderzenia oddają stopniowo napotykanym na drodze cząstkom, wzmagając w ten sposób ich ruch termiczny.

Podobny efekt obserwujemy wtedy, gdy pociskami z karabinu maszynowego ostrzeliwujemy piassek. Stwierdzamy bowiem, że piassek ten nagrzewa się wskutek hamowania pocisków.

Identyczny przebieg reakcji łańcuchowej, jak w reaktorze atomowym zachodzi oczywiście i w bombie uranowej lub plutonowej, lecz proces wytwarzania neutronów, a więc i kolejnych rozszczepień ciężkich jąder odbywa się w sposób lawinowy. W reaktorach proces ten może być regulowany przez wprowadzanie do ich wnętrza specjalnych pierwiastków, które wychwytyują nadmiar neutronów. W ten sposób normuje się szybkość reakcji. Używa się do tego celu zazwyczaj prętów kadmowych.

Fragmenty rozszczepienia jąder uranu są ciałami promieniotwórczymi — można je z reaktora usunąć przy pomocy metod chemicznych i zastosować do celów biologicznych lub technicznych. Skład chemiczny tych fragmentów jest jednak przypadkowy i dlatego nie zawsze mogą one znaleźć celowe zastosowanie. Reaktor atomowy umożliwia jednak wytwarzanie przy pomocy neutronów zupełnie określonych substancji promieniotwórczych, istniejących wewnątrz pracującego stosu. Wystarczy w tym celu na krótki okres wprowadzić do jego wnętrza odpowiednią sub-

stancję, która nie zmieniając swej przynależności chemicznej stanie się po pewnym czasie promieniotwórczą.

Dwa omówione aspekty reaktora atomowego omówimy bliżej.

Reaktor atomowy jest więc przede wszystkim źródłem ciepła. Ciepło uzyskiwane przy rozszczepianiu jądra może być natomiast użyte np. do centralnego ogrzewania mieszkań, do różnych celów grzewczych zastosowań tych urządzeń, przede wszystkim jednak może być ono użyte do wytwarzania energii mechanicznej i energii elektrycznej.

Mając źródło ciepła możemy inne formy energii uzyskać wielu sposobami. Możliwy jest na przykład taki obieg pracy:

Ciepło wytwarzane w stosie ogrzewa wodę. Woda wskutek tego intensywnie paruje i w postaci pary zostaje skierowana do turbiny, która dostarczy nam energii elektrycznej.

Możliwy jest jednak i trochę odmienny, następujący obieg: ciepło reakcji jądrowej ogrzewa powietrze lub gaz bezpośrednio, który doprowadzamy pomiędzy łopatkami turbiny rozpręża się i wykonuje pracę. Przez sprzężenie turbiny z generatorem elektrycznym otrzymamy najbardziej użyteczną formę energii — energię elektryczną.

Te dwa przykłady oczywiście nie wyczerpują różnorodności sposobów zamiany jednej formy energii w drugą — informują nas tylko o tym, że przy dzisiejszym stanie rozwoju fizyki atomowej, pierwszym ogniwem przemian energii jądrowej na energię elektryczną jest ciepło. Nie jest jednak wykluczone, że w najbliższej przyszłości fizycy potrafią zrzędnąć z usług tego pośrednika; byłoby to już szczytowe osiągnięcie nauki.

ZADANIA dzisiejsze idą przede wszystkim w tym kierunku, ażeby można było zrealizować konstrukcję, której przybliżony obraz mógłby dać poniższy schemat pracy.

Reaktor atomowy uformowany na przykład w postaci kuli otoczonej jest w pewnej odległości współśrodkową izolowaną od niego elektrycznie powłoką kuli, tworząc w ten sposób potężny kondensator kulisty. W przestrzeni pomiędzy kulą a powłoką wytworzona jest próżnia oraz silne pole elektryczne wytworzone przy pomocy zewnętrznych generatorów. Pole elektryczne wewnątrz kondensatora jest przy tym tak uformowane, że dodatni potencjał jest przy elektrodzie zewnętrznej.

Przyopuszczamy teraz, że reaktor już funkcjonuje i wyrzuca fragmenty rozszczepienia ciężkich jąder w pustą przestrzeń pomiędzy okładzinami kondensatora. Fragmenty te są zjonizowane dodatnio, ponieważ dodatni ładunek jądra w tych atomach przeważa nad łącznym ujemnym ładunkiem elektronów. Jony te, wypadając z kuli reaktora, mają znaczną energię kinetyczną, a więc dużą prędkość i zostają stopniowo hamowane przez pole elektryczne. Przedzierając się przez tę przestrzeń wykonują one pewną pracę przeciwko siłom pola elektrycznego i dostarczają do obwodu elektrycznego pewną ilość energii.

Zasadnicza zaś trudność realizacji tego projektu tkwi w wyprawadaniu fragmentów rozszczepienia jąder poza obszar reaktora. Tylko bowiem nieliczne fragmenty mają szansę wyrwania się poza jego granice i wykonania użytecznej pracy w polu kondensatora.

PERSPEKTYWY WYKORZYSTANIA ENERGII JĄDROWEJ

Identyczne ograniczenie utrudnia również dzisiaj budowę rakiety atomowej. Łatwo jest wykazać, że przy dzisiejszym stanie techniki atomowej taka pseudorakieta mogłaby mieć zaledwie moc muchy. Szybki jednak postęp inżynierii atomowej pozwala mieć nadzieję, że jutro trudności te zostaną rozwiązane na pewno.

TAK jak poprzednio opisany atomowy generator elektryczny był przykładem zamiany energii jądrowej na energię elektryczną, tak rakietą atomową może być przykładem układu, który pozwala transformować energię jądrową na energię mechaniczną. Szkic działania takiej rakiety przedstawiamy poniżej.

Wyobraźmy sobie reaktor atomowy uformowany cylindrycznie, który od strony jednej powierzchni czołowej będzie miał przytwierdzoną ciężką masywną osłonę. Osłonę tę nazwiemy „dziobem” i ona będzie nam wskazywała kierunek hipotetycznego ruchu rakiety. Zakładamy w dalszym ciągu, że rakietą ta już działa i przez jej zewnętrzne ścianki przedostają się fragmenty rozszczepiania jąder ciężkich. Fragmenty te opuszczają właściwy cylinder reaktora zupełnie przypadkowo w różnych kierunkach i z różnymi prędkościami. Gdyby nie było masywnego „dziobu”, to wówczas oczywiście wszystkie sily pochodzące od odrzutu fragmentów równoważyłyby się i na reaktor nie działałaby żadna wypadkowa siła zewnętrzna, która mogłaby spowodować ruch rakiety. Symetrię tego odrzutu zakłóca jednak celowo potężna masywna płyta zwana „dziobem”. Grubość jej bowiem jest tak dobrana, że fragmenty rozszczepienia opuszczające reaktor od strony dna cylindra przylegającego do dziobu nie opuszczają układu: reaktor — „dziób”, a po prostu w nim zostaną uwięzione. W ten sposób pojawia się siła odrzutu pochodząca od fragmentów, które opuszczają dno przeciwnie — i rakietą powinna poruszać się w kierunku zaznaczonym przez „dziób”.

Błąd w tym rozumowaniu nie ma. Błąd jest tylko w założeniu. Założyliśmy bowiem w dalszym ciągu, że fragmenty rozpadu jąder ciężkich są zdolne do opuszczenia reaktora.

SCHODZĄC na płaszczyznę rzeczywistości wydaje się, że w chwili obecnej proces zachodzący w reaktorze atomowym może być jedynie traktowany (obok efektów promieniotwórczych) jako nowe źródło energii cieplnej zdolne do dostarczania tej energii przy dowolnie wysokiej temperaturze. Temperatura ta jest dzisiaj jeszcze ograniczona do umiarkowanej wielkości normalnie spotykanych przy innych układach cieplnych. Lecz nawet przy istniejących dzisiaj ograniczeniach technicznych zalety reaktora atomowego są niezwykłe. Najważniejsze z nich ujmijemy w trzech zasadniczych punktach:

1-o. Reaktor atomowy jest potężnym źródłem energii cieplnej o olbrzymich potencjalnych możliwościach. Prócz normalnych zastosowań przy wytwarzaniu energii na ziemi (np. w elektrowniach) może on znaleźć szerokie zastosowanie w lotnictwie — bo przy stosunkowo niedużym ciężarze (bez osłon zabezpieczających przed promieniowaniem) może dostarczać bardzo znacznych mocy. W ten sposób reaktor może być specjalnie przydatny do napędu raket sterowanych automatycznie bez pilota.

2-o. Reaktor atomowy jest źródłem energii zupełnie niezależnym z natury rzeczy od źródła tlenu, który jest warunkiem koniecznym przy wszelkich procesach spalania. Ten wzgląd predestynuje go jako idealny środek napędowy przy lotach kosmicznych.

3-o. Reaktor atomowy przedstawia duże możliwości ekonomiczne, które wynikają przede wszystkim z niewielkiej konsumpcji surowca. Ilościową ilustracją tej zalety mogą być dane zaczerpnięte z już funkcjonujących stosów. Zmierzone, że w stosie atomowym na jeden wat pobieranej mocy w ciągu jednego roku ulega rozbitciu w przybliżeniu sto milionów jąder uranu 235 (izotop uranu o masie atomowej 235). To nie jest duża liczba w skali atomowej. Po przeliczeniu na bardziej zrozumiały język okazuje się, że reaktor wytwarzający moc stu tysięcy kilowatów zużyje w ciągu roku zaledwie 36 kilogramów uranu 235. Oczywiście, energia ta jest dostarczana w postaci ciepła i jeśli byśmy ją chcieli przetworzyć na energię mechaniczną to z tej ilości zamienilibyśmy użytecznie w silnikach cieplnych tylko około 30 proc. Lecz to jest już zwykle ograniczenie natury termodynamicznej, powstające przy transformacji cieplnej na energię elektryczną.

Ważny inne porównanie. Energia wytwarzana przy rozszczepianiu jednego grama uranu odpowiada

energii dostarczonej przez spalenie 3 ton ropy naftowej.

Weźmy wreszcie ilustrację, która da nam porównanie procesu rozszczepienia jąder ciężkich z procesem palenia węgla. Bilans energii wykazuje nam, że równoważnikiem energetycznym węgla naładowanego na 60 wagonów jest grudka uranu, którą można by było zmieścić do pół kilogramowego pudełka od czekoladek.

Przechodzimy do dyskusji aspektu promieniotwórczego reaktora atomowego.

Wnętrze reaktora jest intensywnym źródłem promieniotwórczości, która jest bardzo groźna dla zdrowia człowieka. Reaktor musi być w związku z tym starannie ekranowany grubymi osłonami ołowianymi lub betonowymi. Źródłem tej promieniotwórczości są przede wszystkim rozszczepienia promieni uranu jak również bardzo liczne neutrony towarzyszące procesowi.

Pierwiastki promieniotwórcze odpowiednio dozowane mogą jednak spełniać w nauce niezwykle pożyteczną rolę. Zastosowania ich w różnych dyscyplinach naukowych i technicznych ostatnio tak bardzo się rozszerzyły, że nawet encyklopedyczne wymienienie ich nie jest możliwe w krótkim artykule. Ograniczymy się dlatego do przeglądu najbardziej typowych zastosowań.

Izotopy promieniotwórcze pozwalają szczegółowo zbadać przemianę materii w żywych organizmach i przez to dają one badaczom niezmierne cenne informacje, które pierwiastki i związki chemiczne są absorbowane przez organizm, a które jako zbyt cenne są wydalane na zewnątrz, dalej uwidaczniają lokalizację tych substancji w żywym organizmie itp.

W lecznictwie możemy wymienić stosowanie niektórych izotopów promieniotwórczych do walki z komórką rakową. Ostatnio na liście specyfików klinicznych pojawiły się nowe do niedawna tajemnicze nazwy: radiokobalt, radiojod, radiofosfor, radiojod, radiozłoto. Małe kawałki tych substancji nie większe od pudełka od zapalek wytwarzają zabójcze promieniowanie dla komórki rakowatej, równoważne niekiedy wielu kilogramom trudno dostępnego radu.

Produkcja tych radionuclidów jest przy tym niezwykle prosta. Zwykły kobalt, iryd, fosfor, jod, złoto itp. wkłada się na pewien czas do wnętrza reaktora atomowego i tam, we wnętrzu owego „cudownego pieca” substancje te bombardowane neutronami zmieniają szatę fizyczną — stają się promieniotwórczymi.

Stosowanie substancji promieniotwórczych wytwarzanych masowo w stosach atomowych jest poza biologią i medycyną szczególnie cenne w chemii i farmakologii. Trudno sobie nawet wyobrazić, ile nowoczesna chemia i farmakologia zawdzięcza i będzie zawdzięczać izotopom promieniotwórczym. Izotopy te spełniają bowiem rolę „mikroskopów”, które zdradzają naturę wiązań strukturalnych i przemian chemicznych.

W związku z substancjami promieniotwórczymi wylania się również taka na przykład perspektywa w technice medycznej:

Wiemy, że substancje promieniotwórcze emitują trzy rodzaje promieniowania: alfa, beta i gamma. Z tych trzech odmian promieni gamma są natury elektromagnetycznej, a więc elektrycznej z naturą promieni X. Promienie te różnią się od promieni X tylko znacznie krótszą długością fali. Ponieważ promienie gamma są bardzo przenikliwe i mają zdolność zacierania kliszy fotograficznej, istnieje możliwość zastąpienia nimi promieni X w diagnostyce lekarskiej.

Źródłem promieni gamma może być przy tym substancja zawarta w objętości nie większej niż gwiazdka od szpilki, a źródłem promieni X musi być zawsze aparatura kosztowna, skomplikowana i niepożądana w pracy. Czy radiologowie przedkroczą drogę z tej nowej metody prześwietlania — trudno przewidzieć. Metalurgowie już ją stosują do prześwietlania grubych bloków stalowych i uznali jej niezwykle zalety.

Ogólnie można powiedzieć, że substancje promieniotwórcze, przetwarzane wewnątrz reaktorów atomowych otwierają jako narzędzie badawcze w nauce perspektywy nie mniejsze od tych, jakie swego czasu dostarczył mikroskop.

W ŚWIETLE tego krótkiego artykułu na temat pokojowych zastosowań energii jądrowej i jej perspektyw — wyraźnie zarysowuje się teraz słynne powiedzenie radzieckiego fizyka atomowego Piotra Kapicy, że „dyskusja na temat energii atomowej sprowadzonej tylko do opisu działania i produkcji bomby atomowej jest równoznaczna ze sprowadzaniem dyskusji na temat elektryczności do opisu działania krzesła elektrycznego”.

RYSY NA DYKTATURZE



Zandarm hiszpański sprawdza, czy książki w kiosku zgodne są z wytycznymi dyktatora.

W numerze majowym br. postępowego czasopisma francuskiego „Esprit” ukazał się ciekawy artykuł Eleny de la Souchère opisujący trudności polityczno-gospodarcze reżimu gen. Franco, jak również rysujące się oznaki fermentu w jego strukturze wewnętrznej. Spodziewając się, że problem ten zainteresuje naszych czytelników — publikujemy artykuł z pewnymi skrótami.

REDAKCJA

W CIĄGU sześciu miesięcy po podpisaniu układów hiszpańsko-amerykańskich rząd frankistowski dał dowody bujnej pewności siebie i dowody słabości; oznaki te jednak nie przeczą sobie, lecz wprost przeciwnie, uzupełniają się wzajemnie. Aby wytłumaczyć pewność siebie, zrodzoną z nowego przymierza, agitację prowadzoną z powodu Gibraltaru, Maroka czy zół w Penarroya — należałoby stwierdzić, że rząd gen. Franco mógł mieć nadzieję, iż żądania jego, sprzeciwiające się interesom Anglii i Francji, poparte zostaną przez Amerykę. Któż zaś mógłby przypuszczać, że rząd waszyngtoński, gdyby przypadkiem powołany został na arbitra w sporze pomiędzy imperium brytyjskim a dyktaturą z trudem ustaloną w zrujnowanym kraju, wybierze raczej sprzymierzeńca słabszego niż potężnego? Jeśli nawet w umysłach niektórych falangistów mogły się budzić takie szalone nadzieje, to — w braku innych wskazań — wzywające do spokoju przemówienie ambasadora amerykańskiego w Izbie Handlowej w Bilbao wystarczyłoby do rozwiania tych złudzeń. Pomimo tego jednak ostrzeżenia agitacja w Gibraltarze trwa w dalszym ciągu, mimo że kampania ta, będąc pozbawiona poparcia amerykańskiego, nie może osiągnąć zamierzonego celu. Jakże są istotne zamiary rządu gen. Franco? Jaka konieczność zmusza go, aby pieniąż się ze złości, sam świadczył o swym u-

pokorzeniu? Czyż cały ten zgiełk i wrzawa nie byłyby bezcelowe, gdyby nie służyły do zagłuszenia innych głosów? Czyż podjudzanie innych hiszpańskich, wzbudzanie ich gniewu i złudnych nadziei nie ma na celu odwrócenia uwagi od istotnych zagadnień wewnętrznych?

Wypadki wewnętrzne, poprzedzające o kilka tygodni jednoczesne rozpoczęcie trzech wyżej wymienionych nacjonalistycznych kampanii agitacyjnych, ujawniają ich istotny cel. Pierwszym z tych wypadków jest strajk w Bilbao, wywołany zmniejszeniem godzin pracy, wskutek bowiem długotrwałego okresu suszy musiano ograniczyć dostarczenie prądu elektrycznego. To zmniejszenie godzin pracy nie wpływało na zmniejszenie normalnego wynagrodzenia, które przedsiębiorstwa obojętne są wypłacać w każdym wypadku swym pracownikom; natomiast pociągało ono za sobą zmniejszenie godzin nadliczbowych, te zaś dawały robotnikom jedyną możliwość zdobycia minimum życiowego, którego im pensje nie zapewniały. Chociażby chwilowo zniesienie tych godzin nadliczbowych wywołało więc gniew i rozpacz robotników nie liczących się już wówczas z sankcjami prawnymi, stosowanymi do strajkujących. Fakt ten świadczy o zbyt niskich zarobkach normalnych oraz o chwiejności równowagi społecznej, podlegającej zmianom koniunkturalnym.

KONCENTRACJA GOSPODARCZA I INWESTYCJE AMERYKAŃSKIE

NACISK opinii publicznej wywierany na rząd wyraża się w dwóch wskaźnikach oznaczających zwykły wynagrodzeń i zwykły cen począwszy od roku 1936. Cyfry te zresztą, wzięte z urzędowych statystyk Ministerstwa Pracy, wymieniane były podczas październikowej konferencji w Izbie Nieruchomości Miejskich w Madrycie przez p. Jose Fonseca

Llamado, głównego architekta narodowego Instytutu Mieszkaniowego. W ocenie zmian zachodzących w uposażeniach p. José Llamado brał pod uwagę tylko pensje zasadnicze, bez dodatków rodzinnych, gratyfikacji i odszkodowań. Porównując zwykłe zasadnicze pensji robotniczych do cen niektórych produktów pierwszej potrzeby mowa wywodzi, że siła nabywcza masy robotniczej zmniejszyła się od roku 1936 o dwie trzecie. Wynik ten jest czymś więcej niż niesprawiedliwością społeczną, jest on bowiem absurdem gospodarczym dającym się wytłumaczyć jedynie zderzeniem się dwóch wrogich sobie kierunków, które rząd pracowicie starał się „połączyć”, a mianowicie: konserwatywnym klasycznej prawicy i reformizmu Falangi.

Kierunek falangistowski, zbiórki ziarna, niskie ceny na produkty rolne — wszystko to zniechęca rolnika i przyczynia się do zmniejszenia produkcji rolnej, i tak już ograniczonej skupieniem wielkiej części obszarów rolnych w rękach nielicznych wielkich właścicieli ziemskich, najczęściej w majątkach swych nie przebywających. Podczas gdy przedsiębiorczy system podatkowy nie dopuszcza do podniesienia się dochodów państwowych, Falanga zwiększa wydatki ogólne i wielkim kosztem stara się rozwinąć przemysł, który wobec słabej siły nabywczej ludności nie ma wystarczającego zbytu na rynkach wewnętrznych.

Wszystkie te braki wyrażają się w cyfrach statystycznych. Weźmy na przykład dane za rok 1947. We wszystkich dziedzinach produkcja okazuje się niższą od produkcji z roku 1935, której wskaźnik był 100. Wskaźnik produkcji rolnej spadł na 73, produkcji przemysłowej na 98,4, wskaźnik dochodu narodowego na 93.

Nominalny wzrost wydatków, niższy od wzrostu dochodów, znacznie przekracza zwykły wpływ. Wyraża się ona wskaźnikiem 303. W rzeczywistości jednak wpływy przewyższają przewidywania, deficyt bowiem jest stały. Zresztą, istotne podniesienie się wydatków zamaskowane jest sztuczkami w rachunkowości. Wydatki inwestycyjne, skasowane w budżecie wskutek zwiększenia się obciążeń na wojsko i bezpieczeństwo wewnętrzne, wpisane zostały do budżetów instytucji autonomicznych, mnożących się szybko pod wpływem Falangi — takich, jak Narodowy Instytut Przemysłowy, Instytut Mieszkaniowy, R. E. N. F. (sieć kolei żelaznych), Urząd Zbożowy itd. Każda z tych instytucji, a jest ich dziewięćset, posiada swój własny budżet. Już w roku 1947 globalna suma ich wydatków wynosiła 4 miliardy pesetów, co podnosi wskaźnik wzrostu wydatków ogólnych na 355. W rachunku tym nie uwzględniono jeszcze wydatków instytucji prowincjonalnych, których wydatki w okresie 1946 — 48 wzrosły o 40 proc., podczas gdy budżet państwowy wykazywał wzrost około 15 proc. Widzimy tu więc gospodarkę zubożającą, w której wydatki instytucji państwowych wzrastają znacznie szybciej niż ich dochody. Jest to brak równowagi finansowej, zmuszający rząd do pobierania coraz to nowych zaliczek w Banku Hiszpańskim i do wypuszczania coraz to większej ilości pieniędzy. W ostatnim bilansie z roku 1947 obieg banknotów papierowych dosiada 26 miliardów 14 milionów pesetów, w porównaniu do 4.836 milionów w roku 1935 — zwykła ta wyrażona jest wskaźnikiem 528. O ile peset stracił trzy czwarte swej wartości z okresu przed wojną domową, o tyle obieg banknotów papierowych zwiększył się pięciokrotnie. Jest to kla-

syczny przykład inflacji banknotów papierowych, pociągający za sobą dużą zwykłą kosztów utrzymania — wskaźnik 424 — i znacznie poważniejszą zwykłą uposażań.

Z takich to względów rząd ogłosił w styczniu 1948 roku zablokowanie uposażań. Inflacja, wywołana koncentracją gospodarczą i nadmiernymi wydatkami na produkcję przemysłową, zadecydowała o wydaniu zarządzenia, które zmniejsza jeszcze bardziej koncentrację ma wpływ na stopniowe zmniejszenie się konsumpcji. Zablokowanie uposażań wpływa natychmiast na zwolnienie tempa inflacji, nie powstrzymując jej jednak całkowicie, nie narusza bowiem dwóch jej najważniejszych źródeł: obniżenia się produkcji rolnej i nadwyżki wydatków instytucji publicznych nad ich dochodami. Jest to chroniczny deficyt zmuszający rząd do ciągłego zwiększania ilości banknotów papierowych. Na wiosnę 1951 roku, wskutek wyjątkowo niepomysłnych zbiorów, wskaźnik zwykły cen osiąga 572. Równowaga społeczeństwa, utrzymywana dotąd terrorem politycznym, zachwiała się ostatecznie pod ciężarem niepowodzeń gospodarczych i rozpoczęła się seria strajków.

Zwiększa się różnica pomiędzy nominalnym dochodem państwowym a istotnymi wpływami pieniężnymi. Wartość peseta w latach 1947 do 1952 spada z jednej czwartej na jedną siódmą wartości przedwojennej, nominalny zaś dochód 250 miliardów pesetów (wskaźnik nominalnej zwykły cen roku 1935: 1.009) odpowiada budżetowi wydatków, wynoszącemu 22 miliardy (wskaźnik zwykły cen: 485). Budżet państwowy, pochłaniający przed wojną jedną piątą dochodu narodowego, w roku 1952 wynosi zaledwie jego dziesiątą część. Przy tym przewidywane wpływy były o 2 miliardy niższe od wydatków. Ponieważ podatki i pożyczki nie mogły pokryć takiego deficytu i wydatków instytucji autonomicznych, rząd musi się uciekać do nowych emisji banknotów papierowych. Obieg tych banknotów wzrasta z 27 i pół miliarda w roku 1947 do 38 i pół miliarda w roku 1952. Wzrost produkcji przewyższa jednak zwiększenie się ilości banknotów papierowych, które wpłynęło na obniżenie wartości pieniądza. Tym sposobem zwykła cen jest chwilowo powstrzymana.

Jest to sukces spóźniony, ponieważ pesety straciły już, zdaniem kapitalistów, ciułaczy i posiadaczy państwowych, sześć siódmych swojej wartości. Sukces ten był możliwy do osiągnięcia jedynie za cenę zablokowania uposażań, co zwalniając tempo inflacji pozwoliło na wzrost produkcji. Te dwa wydarzenia, to jest dewaluacja pieniądza i zablokowanie uposażań wpływają na osłabienie siły nabywczej ludności i na zmniejszenie chłonności rynku wewnętrznego nie mogącego nadążyć zwiększonej produkcji.

Gospodarka hiszpańska obecnie wchodzi ponownie w okres inflacji będącej jedną z przyczyn trudności, z którymi Hiszpania walczy od kilku lat: z jednej bowiem strony ograniczenie inflacji przez zablokowanie uposażań zmniejsza konsumpcję i powoduje brak popytu, z drugiej zaś, przystosowanie uposażań do zwiększonych cen wywołuje inflację. Zagadnienie to może być rozwiązane jedynie przez inne rozłożenie dochodów za pomocą reformy agrarnej i progresji podatkowej. Przed takim właśnie rozstrzygnięciem bronili się przemysłowcy w ciągu dwudziestu lat, i to nawet za cenę domowej wojny. Osaczony przez trzy śmiertelne niebezpieczeństwa: brak popytu, inflację i reformę, kapital-

ma tylko jedno wyjście, a jest nim deflacja. Aby to jednak skutecznie, musi się wyrwać z zawlekiej sieci urzędów falangistowskich.

Walka pomiędzy falangistami a konserwatywnymi jest, zarówno dla jednych, jak i drugich, walką o życie. Tym bardziej, że falangisci wpływają na ceny nie tylko przez przedawanie budżetu, co wywołuje inflację banknotów papierowych i obniżenie wartości pieniądza. Poza tym wpływem pośrednim — wierają oni wpływ bezpośredni na ceny kosztu korzystając z przywilejów, z których najważniejsze to: monopol handlu zagranicznym i możliwość ustalania kursów walut według własnego widzi mi się.

Pod postacią oszustwa na kursach dewizowych, pod postacią łapówek, dopłat do rachunków za elektryczność i tysiąca innych sposobów, przemysłowcy płaci danteńskie urzędom falangistowskim. Nie sposób jest dokładnie obliczyć wysokość tych dochodów, które niektórzy dziesięć miliardów pesetów rocznie. W lecie 1952 roku minister handlu przyznał, że system „różnych kursów” przynosił co roku skarbowi państwa i instytucjom autonomicznym około 3 miliardów pesetów. Te ukryte podatki wraz z oficjalnymi wydatkami na biurokrację falangistowską wpływają na wzrost cen kosztów, co się z kolei odbija na cenach sprzedaży.

Pomoc amerykańska nie przyczynia się do złagodzenia tych konfliktów, lecz przeciwnie — zagnia walkę i wzmacnia jeden z obozów o jedną trzecią zainteresowanych.

ROZPADANIE SIĘ JEDYNEJ PARTII

Od chwili podpisania układu hiszpańsko-amerykańskiego konserwatyści przeszli do ataku. Uni-

kając z kolei surowej cenzury — jakkolwiek sami się przyczynili do wprowadzenia jej w Hiszpanii — musieli skorzystać z uprzejmości pisma zagranicznego „Les Ecris de Paris”, aby w nim ogłosić manifest o utworzeniu trzeciej siły. Ruch ten określił się jako przeciwny „lewicowemu” Falangi i „nihilizmowi” Chrześcijańskich Demokratów. W tym wypadku nazwa ta miała oznaczać katolików współpracujących z reżimem, z grupy Ruiz Jimenez i Martina Artajo.

O ile „trzecia siła” nie przedstawia jako taka żadnego niebezpieczeństwa dla reżimu, to ogłoszenie „manifestu” przez jej „przywódcę” prof. Calvo Serera jest jedną z licznych i najjaskrawszą oznaką niezadowolenia zagrożającego jednolitość frankistowskiej.

Aby się przeciwstawić temu niebezpieczeństwu Stara Falanga wyznaczyła w jesieni ub. r., dokładnie nazajutrz po podpisaniu układu hiszpańsko-amerykańskiego, pierwsze od rozpoczęcia wojny domowej zebranie Kongresu Narodowego. Dotąd bowiem, w ciągu piętnastu lat, rząd obawiał się, aby narady Kongresu nie ujawniły ideologicznych sprzeczności Jedynej Partii. Z chwałą jednak, gdy dysputa się rozpoczęła a niezgoda staje się rzeczą ogólnie znaną, milczenie musi ustąpić konieczności stwierdzenia żywotności ruchu, popartej pokazem siły istotnej czy pozornej. Pokazanie dało swą wypowiedź polityczną wiadomskim, w którym wywiał, defilady, mundury oraz po prostu obecność stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi, gorliwych działaczy, czy też biernych figurantów, były tyłkami sposobami twierdzenia i powtarzania: „Jeszcze istnieje”. Istnienie ruchu, jego zdolność przystosowania

(Dokończenie na str. 7)



Prerażająca nędza dzieci hiszpańskich. 2 500 000 nie uczęszcza w ogóle do szkoły, zaś 75,6% objętych nauką w szkole powszechnej — choruje na gruźlicę.

ALEKSANDER ROGALSKI

DWAJ KARDYNAŁOWIE I CENTRUM

NIE ulega wątpliwości, że sprawować władzę biskupa w takiej diecezji jak wrocławska, nie było bynajmniej rzeczą łatwą. W tej diecezji, która obejmowała cały Śląsk, narastały problemy społeczne, gospodarcze, populacyjne. Gwałtowny wzrost liczby ludności, związany z równie szybkim rozwojem przemysłu, szedł w parze z wielkimi konfliktami, jakie niósł z sobą kapitalizm. Do tego dochodził jeszcze czynnik zasadniczy: problem narodowościowy, mianowicie problem ludności polskiej. Nabierał on ostrości — zwłaszcza, że cała Europa od kłeski francuskiej pod Sedanem zaczęła żyć w klimacie nacjonalizmu. Nacjonalizm był nieodłącznym towarzyszem militarystki, ten zaś pchał ku imperializmowi. Ta trójka stanowiła napędowe koła historii w kapitalistycznej Europie w latach 1870—1945.

Odnosi się to szczególnie do państwa niemieckiego. Państwo to posiadało charakter totalitarny. Nie zniszczył w swych granicach, tworów odrębnych i samostojnych. Chciało być jednolite i to tym bardziej, że jego jedność polityczną dokonała się w sposób mechaniczny i pośpieszny. Chciało być na wskroś niemieckie i na wskroś protestanckie. Gdy jednak Kulturkampf wykazał, że nie da się z Niemcami ani wyeliminować katolicyzmu ani zdławić żywiołu polskiego — wiemy zaś, że Kulturkampf wymierzony był zarówno przeciw Kościołowi katolickiemu jak i przeciw polskości (a nawet bardziej jeszcze przeciw pol-

skości, bo przecież sam Bismarck wyznał, iż o rozpoczęciu przezeń walki z katolicyzmem decydował jej polski aspekt!) — wówczas zaczęto stosować inną metodę. Mianowicie metodę podporządkowywania nadrzędnym interesom imperium niemieckiego wszystkich heterogenicznych elementów, jakie w nim istniały, a więc przede wszystkim — katolicyzmu i żywiołu polskiego.

Jeśli idzie o katolicyzm, to w okresie tym nastąpiło to, co Fryderyk Wilhelm Foerster zaważył w znanym zdaniu: „Bismarck poszedł wprawdzie do Canossa, ale katolicyzm niemiecki przeszedł do Poczdamu”. Trafności tego powiedzenia dowodził zamieniony zwrot, jakiego dokonała partia centrowa, skupiająca cały aktywny społeczny i polityczny katolicyzm niemiecki i będąca oficjalną reprezentacją interesów Kościoła katolickiego w Niemczech (niezależnie od przedstawicielstwa dyplomatycznego Stolicy Apostolskiej). Przestała ona być partią antyrządową, jaką była przed i w okresie Kulturkampfu i zaczęła współzawodniczyć wraz z innymi stronnictwami niemieckimi o palmę pierwszeństwa w zakresie służebności wobec państwa, które już wyraźnie przygotowywało się do wojny, by zdobyć panowanie nad światem.

Jeśli zaś idzie o żywioł polski, to okres ten zaznacza się wzmocnieniem germanizacji. Parlament uchwalał ustawy wyjątkowe przeciwko Polakom. Język polski rugowano

ze szkół, z urzędów, nawet z Kościoła. Szczególnie silne postępy w tym czasie poczyniła germanizacja kleru śląskiego. Rzecz zmienna: germanizowali się z reguły księża, którzy byli synami pracowników rządowych, lub których funkcja polegała na umiejscowieniu „komentowania”, a więc odgrywali w pewnym stopniu rolę władczą (Herenrolle). Natomiast synowie drobnych chłopów i robotników zachowywali zazwyczaj swą narodowość i pracowali razem z ludem.

Ale akcje germanizacyjnej nie dało się przeprowadzić łatwo. Lud polski w ostatnich trzydziestu latach ubiegłego stulecia był rozdarty narodowościowo i stawał opór swemu wynarodowieniu.

W TAKIEJ to sytuacji pobleźnie powyżej skreślonej wypadło rządy biskupie sprawować kardynałowi Jerzemu Koppowi i jego następcy — kardynałowi arcybiskupowi Adolfowi Bertramowi. Powiedzmy od razu, że obydwaj byli księżami Kościoła nie małego formatu. Każdy z nich stanowił w swoim rodzaju wybitną osobistość. Obydwaj bez reszty poświęcali swoje siły zadaniom, które wiązały się z ich wysokim urzędem.

Zadania zaś te mogły wprost przerażać swoją złożonością. Wystarczyło tylko zwrócić uwagę na jeden fakt: na dwa i pół miliona wiernych diecezja liczyła niemal dwa miliony katolików polskich, przy czym w granicach diecezji znajdowało się ok. 2 miliony niemieckich protestantów. Główna bańka socjologiczna Kościoła mieściła się w rejonach zacofanych pod względem gospodarczym, zamieszkałych przez ludność wyraźnie przesiedlaną i uciskaną przez rząd. Rząd zaś podpórę swoją na Śląsku widział w niemieckiej lud-

ności protestanckiej rekrutującej się przeważnie z warstwy urzędniczej, mieszczańskiej, zamożniejszego chłopstwa, z posiadaczy ziemskich i właścicieli kopalń oraz fabryk. Ale te same klasy reprezentowały również niemieckie katoliki. Z jednej strony było więc widoczne, że dobro Kościoła katolickiego na Śląsku jest ściśle sprzeczne z ludem polskim, którego gorliwość religijną była przysłowiowa. Z drugiej jednak strony — występowanie w obronie polskich mas wierzących groziło popadnięciem w zatarg z państwem, którego interes zdawał się wymagać wchłonięcia ich przez niemieczyznę.

Tymczasem ani kardynał Kopp ani kardynał Bertram nie byli usposobieni do zarzyczenia kolizji z państwem i do opowiedzenia się za tymi, którzy stanowią fundament Kościoła katolickiego na Śląsku, główną bazę rekrutacyjną jego kleru. Obydwu tych dostojników Kościoła cechowała bowiem zasadniczo lojalność wobec nowego cesarstwa niemieckiego i jego polityki; lojalność, która w zasadniczych rysach odpowiadała postawie, jaką przybrało katolickie Centrum po Kulturkampfe. Była to nawet coś więcej niż lojalność: było to osobiste zaangażowanie się w tę rzeczywistość polityczną, jaka zaczyna narastać w Niemczech hohenzollernowskich po zwycięstwie nad Francją, było to aktywne poparcie tego systemu politycznego, który określała tzw. pruska racja stanu.

A choć kardynał Kopp rozpoczął swe rządy w diecezji wrocławskiej w całkowicie innym momencie historycznym (r. 1887) niż kardynał Bertram (r. 1914) i w odmiennych warunkach politycznych, każdemu z nich działało wypadło — to jednak występuje między nimi

pewna uderzająca zbieżność. Łączy ich pewien moment, który determinował niejako z góry ich postawę zarówno wobec państwa pruskiego, jak i wobec polskich wiernych diecezji.

*

FAKTY charakterystyczne dwóch ostatnich niemieckich biskupów wrocławskich przesądzały w dużym stopniu o ich stosunku do problemu polskiego na Śląsku. Stosunek ten był — generalnie biorąc — negatywny; wprawdzie w większym stopniu u Koppa, w mniejszym u Bertrama, ale negatywność tego stosunku nie budziła wątpliwości. Różnice między obydwoma kardynałami mieściły się w taktyce, w metodzie działania, co znów wiązało się z osobistymi cechami interesujących nas tu książąt Kępców i Koppa oraz z ogólną sytuacją polityczną w latach ich rządów. Sytuacja ta spowodowała, że kardynał Kopp opowiadał się za otwartą walką, jaką prowadził rząd pruski z narodem polskim. Natomiast kardynał Bertram, postać bardziej „kościelna” aniżeli „polityczna”, co wiązało się z dyktandami Bertrama, wolał uniknąć zbyt mocnych posunięć. Gdy kardynał Kopp afirmował polityczno-administracyjny sposób rozwiązywania problemu polskiego na Śląsku, stosowany przez władze pruskie — kardynał Bertram był w tym względnie zwolennikiem akcji długofalowej i przeprowadzanej, by tak rzec, „w jedwabnych rękawiczkach”. Ale bo też i działalność jego rozwijała się w zupełnie innych warunkach politycznych. Dość wspomnieć o okresie pierwszej wojny światowej, w którym wzgląd na rekruta polskiego zmuszał do pewnego przytępienia polityki eksterminacyjnej. A po wojnie znów istnienie państwa polskiego i międzynarodowa (genew-

ska) ochrona praw mniejszości narodowych wymagały stosowania mniej jaskrawych i mniej alarmujących opinii światową sposobów „regulowania” problemu polskiego w nowym państwie niemieckim, w którym — mimo kłeski cesarstwa — elementy militarystyczne i junkierskie odgrywały nadal decydującą rolę.

Wśród 12 krzywd wyrządzonych ludowi polskiemu przez ks. kard. Koppa — anonimowa broszura pt. „Kto wyrządził ludowi polskiemu na Górnym Śląsku największą krzywdę?” wydana przez „kapłana górnolazką” w okresie plebiscytu, wymienia: zniesienie regularnej nauki języka polskiego w seminarium duchownym we Wrocławiu, wydanie 2 okólników w r. 1890, ograniczających nabożeństwa z językiem polskim, rozwiązanie w r. 1897 wszystkich alobjańskich związków młodzieży polskiej na Górnym Śląsku, które liczyły przeszło 20 000 członków, zakazanie pielgrzymek i wycieczek religijnych do Galicji, Krakowa, Częstochowy itd., rozwiązanie w r. 1906 kółka polskich kleryków w konwencie wrocławskim itd.

Ks. Emil Szranek pisał o ks. biskupie Koppie, że „nie zdobył się na żadne słowo potępienia dla germanizacji a z zimnym sercem pominął milczkiem krzywdę milionów swych diecezjan zwracając się z rażąca jednostronnością przeciwko narodowym wybujałościom tylko Polaków...”

Z perspektywy lat dość interesujące światło na polityczną działalność ks. kard. Koppa rzucają pa-

(dokończenie na str. 4)

GRUNWALD A MIKOŁAJ TRĄBA

RAJMUND GOSTKOWSKI, „POMPEJE”. Wyd. Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1954, str. 380.

WIEKOPOMNE zwycięstwo odniesione dnia 15 lipca 1410 r. na polach Grunwaldu i Tannenberg przez polskie wojska polsko-litewskie nad armią krzyżacką może być rozpatrywane z rozmaitych punktów widzenia.

Pod względem wojskowym interesuje nas nie tylko liczebność wojsk i ich dowództwo, lecz także koncentracja, pochód, plan bitwy i jej technika, a wreszcie — dalszy przebieg kampanii. Pod względem politycznym zachodzi wprawdzie niewątpliwe zżamanie potęgi Zakonu, lecz to objawiło się dopiero w przyszłości, na razie zaś zdumiewa niewyżyskanie zwycięstwa, którego skutki nie odpowiadały bynajmniej jego wielkości. Pod względem ideowym widzimy, jak rzadko gdzie indziej, starcie się dwu elementów: słowiańsko-litewskiego z krzyżackim, idea sprawiedliwości, pokoju i obrony tego, co swoje, z idea imperializmu i zabiorczych ziem cudzych i bezwzględnej tępienia tubylczej ludności.

Ten ostatni wzgląd nie jest wcale mało ważny i nie był nim w oczach współczesnych. Wszak Krzyżacy, dzięki umiejętnej propagandzie popieranej wielkimi środkami pieniężnymi i dzięki swym rozległym stosunkom, w całej Europie Zachodniej potrafili przedstawić swą sprawę jako jedynie słuszną, siebie zaś — jako obrońców chrześcijaństwa i kultury przed pogaństwem i barbarzyństwem. Prócz walki orężnej trzeba więc było toczyć z nimi niemniej trudną walkę na argumenty i dowody, i to nie tylko w dobie Grunwaldu, lecz także przedtem i potem, a zwłaszcza na soborze w Konstancji (1414—1418) przed forum świata chrześcijańskiego. Polscy uczeni, dyplomaci, prawnicy, mówcy i pisarze polityczni mają w tej walce również swoją piękną i zasług pełną kartę. Bo to było też pole bitwy, a nawet pełnej bitwy wielkiej wojny, a owa via iustitiae (droga sprawiedliwości) była nie mniejszymi najeżona trudnościami niż ponawiane z Krzyżakami kampanie.

Dlatego rozumieły wruszające słowa skargi Jagielly przeciw Krzyżakom, zaczynające się w ten sposób: „Sprawiedliwy Boże, Sędzio wszechwładny, który badasz skrytość serc ludzkich, Ciebie wzywam i błagam, abyś mi w tej skardze mojej na dolegające cierpienia nie dozwolił zbłądzić i przeciw prawdzie fałszywymi słowami zbluźnić. Wiedząc zatem i uważając, a bierzcie to w uszy wasze wszyscy królowie i książęta tak duchowni, jako i świeccy, dostojnicy, panowie, szlachta, rycerze, społeczeństwa gmin miejskich i wszyscy zgroma mieniający ziemi, a świętej katolickiej wiary prawni wyznawcy, iż w sprawach między nami a Krzyżakami Pruskimi zachodzących żadnego dla nas ci Krzyżacy nie okazują względu i uczciwej chęci, przez co wszelką cierpliwość, ducha pokoju i zgody, do której z zalenia Króla Najwyższego Jezusa Chrystusa byliśmy obowiązani, w sercach naszych tłumiają.”

Dlatego, gdy pod Czerwińskiem — gdzie odbywała się przeprawa wojsk polskich przez Wisłę po moście łyżwowym, uważanym za arcydzieło ówczesnej techniki, oraz połączenie ich z armią litewską Witolida — przemawiał Jakub Kurdwanowski, biskup płocki po odprawionym uroczystości nabożeństwie „rozwiódł się obszernie o sprawiedliwej i niesprawiedliwej wojnie, wykazując licznymi i przekonującymi dowo-

dam, że wojna zamierzona przez króla z Krzyżakami była słuszną i sprawiedliwą. Tą dźwinię do serca trafiająca mowa wszystkich rycerzy umyśli do walki i obrony ojczyzny przeciw nieprzyjacielowi pobudził i zapalił”. Tak pisze w swych „Dziejach” Długosz.

Do dziś historycy nie są zgodni, komu należy przypisać zasługę wygranej bitwy: czy królowi, który jak podzwolnie późniejszych czasów z odepodał obranego stanowiska śledził jej przebieg i zapewne nią kierował, czy też Witolidowi, który wzorem średnio-wiecznych książąt — bohaterów znajdował się w wirze walki,

królewskiej, Zbigniew Oleśnicki, późniejszy kanclerz i biskup krakowski. Podnieść trzeba rolę ówczesnego podkanclerza, a niebawem arcybiskupa gnieźnieńskiego i pierwszego polskiego prymasa, Mikołaja Trąbę.

Od więcej niż ćwierć wieku stał on zawsze i wernie przy osobie króla, cieszył się jego pełnym zaufaniem, dopuszczany był do wszystkich państwowych tajemnic. Był też królewskim spowiednikiem — stanowisko względem króla neofity i króla obcego narodowi, krajowi i nowym poglądom szczególnie ważne. W dzień Grunwaldu Jagiello od-

kich szczegółów, jak gromadzenie i pochód wojsk, budowa mostu i magazynowanie żywności. Tuż przed bitwą, 10 lipca 1410 r. pod Kurzętnikiem należy do ściślejszej rady wojennej, on jedyny duchowny pośrodk 7 dygnitarzy świeckich. Pod Grunwaldem wreszcie jest w polu i nie da się usunąć do taborów. Dwukrotnie zwraca i kieruje do boju ustępujące chorągwie. Choć niebogaty i wtedy jeszcze nie na wysokim ani intratnym stanowisku — wystawił własną chorągiew, czterdziestą czwartą w liczbowej kolejności, mającą za znak jego herbów 3 trąby czarne w białym polu.

Atoli najbardziej zabłysnął jego rozum niepośledni i charakter nieustępliwy pod murami oblężonego Malborka. Dziwnie opieszale szło do dwumiesięcznego oblężenia, bez szturmów i obciążających, jakby przez samo wyczekiwanie ta silna twierdza miała spaść w ręce zwycięzców. Czas jednak pracował na rzecz Krzyżaków i to w podwójnym sensie. Z jednej strony wzmogła się siła i energia Zakonu od chwili, kiedy na jego czele stanął znakomity organizator, polityk i wódz — komtur ze Świecia, Henryk von Plauen; z drugiej — w obozie polskim zapanowało znużenie, zniechęcenie i coraz żywsza chęć odwrotu. Kiedy odstąpił Witolid, którego postępowanie jest niedocieczoną zagadką, kiedy odeszli mazowieccy książęta, kiedy zabrakło pieniędzy na żołd dla żołnierzy, którzy stawali się nieznosnym ciężarem dla skarbu i dla kraju — król postanowił zwinąć oblężenie. „Ze wszystkich radców królewskich nikt z większą gorliwością i zapałem nie obstawał za wytrwaniem, jak podkanclerzy Mikołaj, który ciągle nalegał, aby Malborka pomy dobrać, póki by do poddania nie był zmuszony. Przedkładał, że po zniesieniu oblężenia wiele dla króla i królestwa wyniknie kłęk i przeciwności. Nie dość mu było na samych radach i namowach, łączył z nimi bolesne skargi i łzami się zalewał”. — Tyle wiemy z Długosza. Stara to prawda, że nie dość jest zwyciężyć, trzeba jeszcze umieć ze zwycięstwa korzystać i że ostateczne zwycięstwo odnosi się za cenę największych wysiłków. Tem poglądom — wbrew zdaniu króla i opinii pewnych panów rady z Andrzejem z Tęczyną, kasztelanem wojnickim na czele — reprezentował Mikołaj Trąba i to jest niemaly tytuł do jego chwaly.

Z bólem musiał też w lutym następnego roku podpisywać warunki toruńskiego pokoju, który był skutkiem nie grunwaldzkiego zwycięstwa, lecz tej dalszej kampanii a przede wszystkim — poniechaniu Malborka.

Czego nie dokonał Jagiello, to przypadnie w udziale dopiero jego synowi, Kazimierzowi Jagiellończykowi, w pokoju — również w Toruniu zawartym — który przywracał Polsce Pomorze z Gdańskiem, ziemię Chelmińską i Michałowską, oddawał Malborg i Powiśle, poddawał księstwo biskupie Warmię. Był to owoc tzw. 13-letniej wojny rozpoczętej równo 500 lat temu, w r. 1454.



Obelisk ufundowany przez Ludowe Wojsko Polskie na pamiętnych polach bitwy grunwaldzkiej.

tak samo zresztą, jak poległy na polu walki mistrz, Uryk von Jungingen. Na wyobraźnię naszą oddział zwiastujący potężny obraz Matejki z Witolidem jako centralną postacią, tak silnie wyróżniającą się spośród płataniny ludzi i koni. W tej gigantomachii wszyscy są z jakiegoś niezwykłego rasy, ale duchem przoduje Witolid, który leci na swym wspaniałym rumaku, leci jak na skrzydłach — tak, jakby niósł w sobie losy całej Polski ku zwycięstwu.

Inni uczestnicy grunwaldzkiego boju i tej wojny, zwanej słuszną „wielką”, schodzą jakby na plan dalszy — mimo że ich udział był w pewnych momentach znakomity. Wspomnieliśmy o młodzieńcu, który królowi nieleżące życie ocalił, ale wżgardził pasowaniem na rycerza, bo obrał sobie stan duchowny. Był to pisarz kancelarii

prawa spowiedź przed Mikołajem Trąbą. Książę podkanclerzy jest mu szczególnie drogi. Łącząc ich nie tylko sprawy publiczne, łączy osobisty afekt i współzależne lat wielu. Podobnie jak król, jest Trąba zwolennikiem raczej pokoju niż wojny, ale w o wiele większym stopniu niż monarcha okazuje się wytrwałym w doprowadzeniu wojny do zwycięskiego końca. Ponad wygraną bitwę stawia ze zrozumieniem właściwym prawdziwemu mężowi stanu wygranę wojny oraz wygranie pokoju po wojnie, czyli wygranie sprawy. Niestety, w tej dziedzinie nie doznał powodzenia.

Mikołaj Trąba bierze udział w naradzie króla z Witolidem w Brześciu 30 listopada 1409 r. Tam to opracowano najdokładniej cały plan kampanii przyszłorocznej aż do ta-

typolskich książek przez katolicką organizację św. Boromeusza (choć kolekty na tę organizację zbiera się również wśród polskich diecezjan). Kończąc swój artykuł autor pisał, iż „przyszła generacja określi zachowanie się dzisiejszego pokolenia kapłanów na niemieckim Górnym Śląsku jako wredne tragiczne”.

W organie mniejszości narodowych w Niemczech, „Kulturwehr”, wychodzący w Berlinie, ukazał się w r. 1929 artykuł, który na konkretnych przykładach omawiał zachowanie się księży centrowych wobec Polaków. Pismo to stwierdzało, co następuje:

„Wśród przeciwników i wrogów sprawiedliwej polityki mniejszościowej w Niemczech stoi na pierwszym froncie partia centrowa. Szczególnie wyraźnie występuje to na Górnym Śląsku, gdzie Centrum przywłaszczyło sobie wszelką władzę polityczną i władzę tę usiłuje utrzymać przede wszystkim również przez nadużywanie kościelnych instytucji i stosowanie gwałtu wobec sumienia religijnego”. Chociaż działa tam „polsko-katolicka Partia Ludowa”, księża niemieccy wywierają nacisk na swych polskich parafian, by popierali wyłącznie partię centrową, gdyż jedynie ona „walczy o Królestwo Boże”. Artykuł ocenia także postępowanie jako bluźniercze i zapytuje: „Czy leży w interesie Kościoła katolickiego takie zachowanie wykorzystywanie sakramentalnego autorytetu biskupa i najwyższej głowy Kościoła dla egoistycznego partyjnego celu, jak to się dzieje na Górnym Śląsku za przyczyną księży centrowych?” Księża centrowi zestawiając swą partię z Kościołem katolickim i z jego misją obrażają w najwyższym stopniu uczucia katolickie. Albowiem jest rzeczą wiadomą, że partia centrowa opiera się

Problematyka poruszona w książce prof. Gostkowskiego należy do typu tych zagadnień historii sztuki, które kryją w sobie wiele uroku i potrafią zainteresować duży krąg czytelników, poza specjalistami tej (frapującej) dyscypliny. Szczególnie Pompeje — również Rzym, założone najpewniej przez Osków, jedno z bardziej ruczliwych plemion Italików. Miasto przez około dziesięć wieków swego istnienia przechodziło ciekawe polityczne, ekonomiczne i kulturalne koleje: coś bierze i coś przekazuje każdemu ze swoich władców — a miało ich kilku — bo po Oskach przychodzą Etruskiowie, po nich Samniti, wreszcie Rzymianie, którzy około 80 roku przed Chr. zakładają tu swoją kolonię.

Te ciekawe i w dużej jeszcze części nieznane drogi rozwoju miasta, reprezentującego wysoki, bo w II wieku przed Chr. będący wzorem Rzymowi poziom kultury, szczególnie materialnej, zamyka katastrofa zalania go lawą z wybuchu Wezuwiusza. Od tych tragicznych dni sierpniowych 79 roku po Chr. do wieku XVIII dwudziestoloczne miasto spoczywa pod pokrywą kilku metrów pumeksu i drobnych kamyczków. Wszelkie wiadomości o nim giną, uchodzi zupełnie z pamięci następnych pokoleń.

Dopiero przypadkowo odkryte w XVIII wieku, wyłania z wykopanisk całą swoją bogatą historię i tradycje kulturalną, urzekającą sztuką i interesującą architekturą. Z przemian, ale wytrwale prowadzone wykopaliska pozwalają nam wnioskować w większą część tego zabytkowego miasta, stojącego u wrót rodzaje się nowej epoki. To wielkie wydarzenie, jakim było odkrycie Pompei, znalazło i do dziś znajduje coraz to nowych dziejopisów kultury materialnej tego miasta.

W Polsce do tej pory nie mieliśmy żadnej poważnej pracy naukowej poświęconej sztuce pompejańskiej, poza paroma publikacjami omawiającymi zagadnienie wycinkowo i ogólnymi w pismach specjalistycznych.

Już zatem sam fakt podjęcia tej ciekawej, ale też wymagającej wielkiej sprawności naukowej i gruntownej wiedzy — problematyki, wydaje się być poważną zasługą dokładnie zorientowanego w przedmiocie prof. Rajmunda Gostkowskiego.

Jakże są osiągnięcia naukowe omawianej pracy, postaramy się odpowiedzieć po przedyskutowaniu metody, jaką stosuje w niej prof. Gostkowski. Jakkolwiek by jednak opinia nasza co do wartości naukowych książek miała się ukształtować, sam fakt odważnego postawienia problemu — Pompeje — z punktu widzenia nauki jest momentem bardzo cennym.

Przejdźmy jednak do samej pracy. Książka Rajmunda Gostkowskiego, profesora uniwersytetu, wydana staraniem Towarzystwa Naukowego — winna naszym zdaniem być studium naukowym poruszonym w niej problematyki, a nie tylko biuletynem informacyjnym czy katalogiem zabytków.

Z definicji nauki, jako poznania pewnego, metodycznego i systematycznego, wskazującego na przyczyny badanych zjawisk wynika m. in. niedwuznacznie, iż jednym z pierwszych wymogów dzieła naukowego jest stosowanie adekwatnej dla danej dyscypliny — metody poznawczej. Zagadnienie metodologii, jak to możemy obserwować na pracy prof. Gostkowskiego, jest fundamentalne dla wszelkiej twórczości naukowej. Metoda, będąc narzędziem poznawczym, utrwala, bądź wręcz uniemożliwia osiągnięcie pełnych wyników naukowych w badaniu określonej grupy zjawisk. Jaką funkcję w akcie poznania spełnia metoda, zależy od faktu, jaką metodą się posługujemy.

W pracy swojej prof. Gostkowski nie wychodzi poza metodę opisową i niekiedy, ale to odświeżenie, porównawczą. Nie można zaprzeczyć, iż jednym z podstawowych narzędzi poznawczych historyka sztuki jest właśnie metoda opisowo-porównawcza. Należy jednak dobitnie podkreślić, iż jest ona...

Z czym się spotykamy w „Pompejach” prof. Gostkowskiego? Z niewątpliwie dużym, bardzo dokładnie i z pletyżem zebranych materiałem faktycznym dotyczącym architektury i sztuki pompejańskiej.

Czy widzimy w pracy prof. Gostkowskiego jakieś związki tak precyzyjnie kreślonych opisów poszczególnych, przywróconych naszym czasom, zabytków z życiem tamtego człowieka? Nie.

Czy sztuka pompejańska w próbie jej przedstawienia przez autora zamierzona jest w pełni naukową pracą o Pompejach — uczy nas czegoś o człowieku owych czasów? Nad wyraz niewiele.

Czy zatem może między dziełem sztuki, wytworem człowieka, a nim samym, jego warunkami życia nie ma żadnych związków? Z pracy prof. Gostkowskiego wynikałoby, że nie ma.

Oczywiście, na takie zdanie, które skądinąd narzuca się spontanicznie przy lekturze omawianej pracy, nie możemy się zgodzić. Nie dyskutując z samym opisem zabytków Pompei i nie ujmując walorów temu jedynie wartościowo naukowo aspektowi pracy prof. Gostkowskiego — niesposób pominać wrażenia, iż ogłoszony tam materiał faktyczny dopiero w oparciu o wiedzę ekonomiczną, społeczną i polityczną okresu I tysiąclecia przed Chr. kwalifikuje się do naukowo pełnego opracowania.

Jaki jest związek między dziełem sztuki, a warunkami, w których się ono rodzi, tego na kanwie opisu architektury i sztuki pompejańskiej prof. Gostkowski nam nie powiedział. Czy historia sztuki to wykład i y i k o o dziele sztuki, czy też i o jego twórcy — człowieku. Można by frontalnie postawić pytanie, generalizując rzecz — czy historia sztuki jest nauką humanistyczną? Jesteśmy przekonani, że co do tego, jakkolwiek nie wszystkie prace uczonych historyków sztuki o tym świadczą — nie ma wątpliwości.

Wszelka sztuka jest służebna wobec określonych ludzkich celów. Inspirowana jest też określonymi społecznie i gospodarczo siłami ludzkiego przeżywania świata. Sztuka nie jest z pewnością celem samym w sobie, ani też nie powstaje poza ściśle sprzyjającymi warunkami społeczno-gospodarczymi. Zawieszona w próżni teologicznej byłaby po prostu niemoralna. Opisana w próżni społeczno-gospodarczej okazuje się niepełna, nieprawdziwa.

Sztuka będąc afirmacją czy też sprzeciwem wobec określonej rzeczywistości, nigdy nie jest dana, jak deus ex machina — niezależna i samoistna, lecz jest jakimś wewnętrznie obowiązującym twórczym zadaniem. Zadaniem, którego niesposób realizować w abstrakcji. Sztuka sięga rozporządzałymi środkami ekspresji ponad wszelką produkcję. Fakt, iż jej autorem jest człowiek, nakłada na nią moralny obowiązek dania z siebie czegoś więcej, niżej, niż fotografii rzeczywistości. Niemniej w określonej rzeczywistości tkwi, a więc emanuje, z nią pozostaje w żywotnych związkach. Jakże to są związki — danej sztuki z daną rzeczywistością — na to pytanie powinien odpowiedzieć historyk sztuki. Zdajemy sobie sprawę z trudu podjęcia takiego zadania. Wtedy bowiem nie wystarczy wiedzieć, w którym miejscu mur pompejański był jak wysoki i gruby, lub jak się kształtowały ceny (według zapewnień autora — „stosunkowo normalnie”) pewnych tanich emocji, ale trzeba też przeanalizować historię gospodarczą, społeczną i polityczną właściwej epoki, a przede wszystkim należy stosować w badaniach naukowe prawa rozwoju społeczeństwa. Tylko jednak w wyniku tak pojętych metodycznych badań (oczywiście przy zachowaniu metody opisowo-porównawczej) można dojść do pełnego naukowo opracowania poszczególnego dzieła sztuki lub ich zespołu. W przeciwnym wypadku najlepszym historykiem sztuki okazałby się precyzyjny aparat fotograficzny.

Tych kilka uwag na marginesie książki prof. Gostkowskiego o Pompejach ma skromne pretensje do przyczynienia się w kierunku podjęcia przez autora „Pompej” właściwych przemysłów metodycznych, szczególnie z okazji następnego, zapowiadanej przezeń pracy o Ostii.

Wydawców „Pompej” chcielibyśmy prosić na przyszłość o dopinanie, by reprodukcje wypadły lepiej, papierem — jak widzimy z pracy prof. Gostkowskiego — rozporządzają oni znakomitym, trzeba to jedynie umiejętnie wykorzystywać.

Ryszard H. Michalski

(dokończenie ze str. 3)

miętniki ces. Wilhelma II i kanclerza von Buelowa.

Wilhelm II pisał: „Szczególnie ściśle związki łączyły mnie z księciem biskupem wrocławskim, ks. kardynałem Koppem. Służył mi on bardzo lojalnie, moje zaś stosunki z nim były bardzo życzliwe. Cenne było dla mnie jego pośrednictwo z Watykanem, gdzie cieszył się on wielką powagą, chociaż bronił na wskroś centralnego (tzn. interesów niemieckich — AR) stanowiska”.

Kanclerz Buelow zaś w następujących słowach wyrażał uznanie dla kard. Koppa:

„Mój czcigodny przyjaciel i dobrodziej, ks. kardynał Kopp, zadziwił wrogów polskości, z którą walczył ze stanowczością godną najwyższych pochwał, powiedział do mnie: „Będę Pana popierał, gdzie tylko będę mógł, lecz frazes o współnocie religijnej między katolikami a Polakami zawsze będzie robił wrażenie na katolickich niemieckich, chociaż w ten sposób nie wywabisz spod pieca żadnego psa polskiego i chociaż polonizacja naszych wschodnich prowincji bynajmniej nie odpowiada interesom Kościoła katolickiego”. Do tych słów kard. Koppa von Buelow dodał następujący krótki komentarz: „Bystry wzrok kardynała wczesnie dostrzegł niebezpieczeństwo, jakie zagrażało państwu pruskiemu i niemieckiej sprawie na Górnym Śląsku”.

Tyle, jeśli idzie o charakterystykę polityczną kard. Koppa. Co się tyczy kard. Bertrama — to jego postawa polityczna wystąpiła

na jaw zwłaszcza w okresie plebiscytu i w okresie powstań śląskich.

Dnia 21 listopada 1920 r. wydał on rozporządzenie, w którym pod karą natychmiastowej suspensy zabraniał kapłanom i klerikom wszelkiej działalności plebiscytowej bez zgody miejscowego proboszcza i nie dopuszczał księży pozadiecezjalnych do jakiegokolwiek działalności politycznej na Górnym Śląsku. Ponieważ zaś rozporządzenie to w dużej mierze przesądzało na korzyść Niemiec rozstrzygnięcie do jakiego państwa ma Śląsk należeć: do Polski czy do Niemiec — bo ludowi polskiemu na Śląsku w sprawach tak wielkiej wagi przewodziło w znacznym stopniu duchowieństwo, a 75 proc. proboszczów było orientacji niemieckiej, więc w społeczeństwie polskim podniosły się głośno głosy sprzeciwu. Wprawdzie, wskutek sprowokowanej tą sytuacją interwencji episkopatu i rządu polskiego, udało się uzyskać od Watykanu łagodniejsze w tej sprawie dekryty kościelne, jednak rozporządzenie ks. kardynała Bertrama, przyjęte przez wielu księży diecezjalnych jako busola orientacyjna, zdołało sprawie polskiej zadąć niepewetowane straty, gdyż w ówczesnych warunkach nader szczerpła tylko liczba księży polskich zdobyła się na odwagę i uczestniczyła czynnie w akcji polskiej.

Ks. kard. Bertram sam zresztą bezpośrednio określił swoje stanowisko w kwestii górnośląskiej, gdy w r. 1921 oświadczył publicznie: „Jako Niemiec żyję sobie naturalnie, aby rezultat plebiscytu wypadł pomyślnie dla Niemiec oraz dla przynależności kultury na Górnym Śląsku”.

Jak już wspomnieliśmy stanowisko polityczne zarówno ks. kard. Koppa, jak i ks. kard. Bertrama

okrywało się z postawą reprezentacji politycznej katolicyzmu niemieckiego w tym okresie, tj. Centrum. Z kolei więc zajmujemy się ogólnym scharakteryzowaniem polityki partii centrowej wobec ludu polskiego na Śląsku, względnie wobec tzw. mniejszości polskiej na Śląsku w okresie międzywojennym.

W czasopiśmie „Menschheit” wychodzącym w Berlinie ukazał się w r. 1928 artykuł napisany przez pewnego kapłana górnośląskiego, zażytowany: „Górnośląscy półbogowie” (Oberschlesische Halbgoetter).

Autor w zwykły sposób przedstawił najpierw niezwykle ciężkie położenie gospodarcze i społeczne ludu polskiego na Górnym Śląsku (Opolszczyźnie) zepchniętego przez niemieckich „panów” do poziomu bytów roboczego czy półludzi. Następnie opisał postępy germanizacji w szeregach duchowieństwa i zobrazował dolę księży, którzy odważyli się przyznać do polskości. Księża tych ze strony niemieckiej często nazywano „sojal-demokratami”. Odrzucono ich systematycznie od radoków i przenoszono do diaspory brandenburskiej. Gdy jeszcze przebywali w alumnacie wrocławskim, poddawano ich ściśle inwigilacji, a w ogóle przyjmowano ich tam tylko „na próbie” z góry im zapowiadając, że mało szans mają na otrzymanie jakiegokolwiek parafii.

O partii centrowej pisał ksiądz górnośląski: „Dawne Centrum Windthorst pracowało z Polakami. Po zakończeniu Kulturkampfu zmieniła się sytuacja. Polacy przestali być potrzebni. Murzyn swoje zrobił... Lud polski na Opolszczyźnie jest narodem bez przywódco”. Germanizacja rozwijała się nadal i to również na terenie Kościoła. Jednym z jej przejawów było propagowanie zdecydowanie an-

na poważnych subwencjach rządowych, że jej przywódcy i członkowie zajmują intratne posady prezydenckie, bądź też siedzą na wysokich stanowiskach państwowych.

A oto wyjątki z listu nadesłanego do redakcji „Kulturwehr” od pewnego rolnika polskiego z Opolszczyzny z r. 1925:

„Z jak niebywałymi trudnościami zmagać się musi w dziedzinie kulturalnej górnośląska ludność polska, o tym wie tylko polski Górnoślązak, który z własnego doświadczenia zna metody dzisiejszych germanizatorów. Wprawdzie walki z mniejszością polską nie prowadzi się dzisiaj z tą brutalnością jak przed wojną, za to jednak forma tej walki, dzisiaj stosowana, jest o wiele niebezpieczniejsza. Walczy się obecnie ze wszystkim, co polskie, w sposób najlepiej przemysłowy, częściowo pod osłoną najbardziej niewinnych, niepolitycznych paragrafów i rozporządzeń... Jest smutnym faktem że w służbie dla tej nowej metody walki z mniejszością polską, budzącej w każdym uczciwym człowieku odrazę, stoją również księża, nieraz nawet w pierwszej linii. Nasz polski lud katolicki, odznaczający się głęboką religijnością, niechętnie przeciwstawia się swoim duszpasterzom nawet wtedy, gdy ci naruszają w jaskrawy sposób najbardziej przyrodzone prawa swych parafian. W ostatecznym wypadku wysyła się najbardziej powściągliwie zredagowane zażalenie do księzbobiskupiego wikariatu generalnego we Wrocławiu, lecz przeważnie okazuje się ono całkowicie bezskuteczne”.

W tym samym roczniku „Kulturwehr” czytamy, że w wielu wypadkach na Opolszczyźnie władze kościelne zmuszają Polaków do brania udziału w nabożeństwach niemieckich: „Najwyższe władze kościelne również na innych mieszanych pod względem narodowościowym terenach, np. na Górnym Łużykach, stawiają swą niemieckość ponad katolickość wyznania wiary”.

MOŻNA przypuszczać, że teraz już dość wyraźnie zarysowuje się przed nami obraz sytuacji katolicyzmu w diecezji wrocławskiej pod rządami kard. Koppa i kard. Bertrama. Wprawdzie zwrócono tu głównie uwagę na elementy polityczne, pozwalają one jednak wysnuć pewne wnioski natury ogólnej a przede wszystkim — moralnej. Przedstawiony bowiem został w rzucie zasadniczym, bez wdawania się w szczegóły i wycieniowania, na które tu miejsca nie ma — stosunek katolicyzmu niemieckiego (rozumianego nie w sensie mistycznego — religijnego ale w sensie formacji społeczno — narodowej) do katolickiego ludu polskiego na Śląsku i to stosunek: 1-o niemieckiego władz kościelnych, 2-o niemieckiego duchowieństwa i 3-o niemieckiego aktywu politycznego, występującego w ramach partii centrowej. Fakty wskazywały na to, że istniała w okresie rządów niemieckich przebieg, jeśli idzie o prawa życiowe i społeczno — polityczne, między katolicką ludnością niemiecką a katolicką ludnością polską. Katolicy niemieccy reprezentowali element władzy w Kościele w diecezji wrocławskiej oraz uprzywilejowane pod względem gospodarczym i politycznym warstwy przywódcze. Natomiast katolicy polscy reprezentowali element służebny w Kościele i służebny w państwie niemieckim. Aleksander Rogalski

1) „Der Beginn des Kulturkampfes war für mich überbewiegend bestimmt durch seine politische Seite”.

2) „Erlaubnisse und Gestalten”, Berlin 1921, s. 176.

3) „Denkwürdigkeiten”, Berlin 1930, s. 306.

POEZJA WIOSENNEJ JESIENI

PROLOG
LIRYCZNO-SATYRYCZNY

KILKA miesięcy temu kupiłem w kiosku od razu około dziesięciu numerów „Przeglądu Kulturalnego”. Sprzedawca patrzył zdziwiony: do pakowania? dlaczego nie tańsze, bardziej płacitowe pisma? a może „na pasek”? Ostatnią wersję podał w formie żartu.

Miał na tyle poczucia humoru i doświadczenia handlowego w swojej branży, aby wiedzieć, że czas panikarzy, którzy wykupywali towar nie mający popytu, dawno minął. Dlatego zdziwiłby się bardzo, gdybym mu powiedział, że w jego żartobliwym domyśle było coś z prawdy. Hurtowo zakupiony numer „Przeglądu Kulturalnego” rozsprzedalem — jako bezstronny agitator rzeczy pięknych — swoim kolegom i znajomym.

Był to numer, w którym Jarosław Iwaszkiewicz po raz pierwszy opublikował cykl najnowszych wierszy pt. „Warkocz jesieni”. Cykl ten uził swego tytułu tomikowi, który ukazał się później nakładem Państwowego Instytutu Wydawnic-

*) Jarosław Iwaszkiewicz — Warkocz jesieni, PIW, Warszawa 1954.

czego, mieszcząc — obok „Warkocza jesieni” — dwie mniejsze wianki: „Plejady” i „Ars poetica”.

TROCHE ROZWAŻAŃ
WYDAWNICZO-RYNKOWYCH

NAJNOWSZY tomik poetycki Iwaszkiewicza trudniej dostać niż numer „Przeglądu Kulturalnego”, chociaż cena prawie taka sama. Wędrując po księgarniach „Domu Książki” w poszukiwaniu jakiegoś przydatnego egzemplarza, snulem refleksje wydawniczo-rynkowe.

Dlatego jedna pozycja zawala — jak złom — półki księgarskie, tęskni do czytelnika, porasta kurzem smutnej rezygnacji, a druga w księgarni zatrzymuje się tylko na krótkim popasie, ledwo muśnięte lekkimi skrzydłami wityrny wystaw, a już niknie pochwycona przez chciwe dłonie anonimowych a przecież serdecznych przyjaciół? Jak to się dzieje, że jedna i druga, obdita w trzech tysiącach egzemplarzy, wędruje innymi drogami przeznaczeń? Jedna — co roku powtarza się w remanencie czterocyfrową liczbą z dwójką na początku — druga co roku niemal domaga się zwrotów, doszczętnie zacytywana, troskliwie oprawiana, przechodząca z rąk do rąk...

CIĄGLE JESZCZE NIBY
NIE NA TEMAT

ALe do redakcji tomik przyszedł. Spóźniony, bo późniejszy, za to aż w dwóch egzemplarzach recenzyjnych. I znowu — jakże odmienny los! Wicie chyba jak to jest z recenzentami? Grzebią, niuchają, jeden drugiemu chce wpechnąć tę czy tamtą pozycję. „Weź, napisz, ja mam w tej chwili ważniejszą robotę...” A tu — kilka rak wyciąga się po „Warkocza jesieni”. Każdy niby chce pisać, a w istocie każdy chce przeczytać, mieć dla siebie, móc wracać do tych wierszy w ponownych lekturach.

(Zamiast artykułu)

Węc znowu refleksja pozornie ogólna. Czy nie jest zwycięstwem książki, zwycięstwem pisarza — nastrój oczekiwania, emocja zdobycia przez czytelników najnowszej jego pozycji? Czy nie jest oceną tej pozycji — ręka chciwie po nią wyciągnięta? Czy nie więcej od krytycznych opisów i patetycznych laurów recenzentek powiedzieć może reporterski niemal lub felietonowy raptularz spotkań książki z czytelnikiem?

Stąd refleksja pozornie tylko wewnętrzno-redakcyjna: warto byłoby stworzyć nowy typ artykułu krytyczno-literackiego, artykułu, który mówiłby o książce opowieścią o jej losach, i w składach „Domu Książki”, i na półkach księgarskich, i w bibliotekach prywatnych, i w sercach ludzkich.

Tak opowiedziany los „Warkocza jesieni” (czy nie w ogóle: los książek Iwaszkiewicza?) byłby losem zwycięskim.

NARESZCIE TROCHE AD REM

KREDYT zaufania, z jakim sięgamy po „Warkocz jesieni”, nie ma w sobie nic z ryzyka. Tomik

spełnia nadzieje, których nas w stosunku do siebie nauczył Jarosław Iwaszkiewicz. Daje radość obcowania ze słowem mądrym i pięknym.

Najmniej może tej radości w fródkowym członie tryptyku cyklicznego: mać ją tutaj różnorodność a raczej niezgodność wzruszeń poetyckich, wynikająca z odległości chronologicznych powstawania poszczególnych wierszy „Ars poetica” (zwłaszcza drugiego i trzeciego). Zdarzają się także w tym mniej udanym cyklu mroczności nastrojowe i wersyfikacyjne, które dezorientują czytelnika, rozlubionego w dostatej, klarownej frazie poetyckiej „Plejad” czy „Warkocza jesieni”. Gdy w jednym (ósmym z kolei) wierszu autor cyklu „Ars poetica”, powiada, że trzeba:

„I w splocie czarnych słów
i roślin,
W odbiciu gwiazd,
w oprzędzie nocy,
Ujrzeć swe rysy w lustrze
wierszy:
Piękniejsze... zatarte...”

Idziemy za tą propozycją ociągłwie, oporni zwątpieniem w słuszność poetycką melancholijnej piny. Ale żyje w nas ciągle mądry spokój „gwiazdozbioru październikowego”, pamiętamy ciągle o pięknej jesieni „syjącej gorzkie cynamonny”, „krajającej plasty czasu niby dymie”. Radość przesywania „Plejad” i „Warkocza” jest główną radością trójcyklicznego zbioru,

Jest rzeczywistość w poemacie „Warkocz jesieni” wyrażona poetycko mądrością przemijania. Ale — chociaż stanowi ona jedną z dominant — nie jest dominantą jedyną. Współbrzmia z nią wyrażona poetycko mądrość trwania, rozwoju, zwycięstwa. Gdy uchwycimy to współbrzmienie, objawia się nam piękna harmonia wewnętrzna jesiennego poematu. Obok słów-westchnień dojrzałych słów — uśmiechy. Jest wtedy „jesień pogodna i szczęśliwa” (4), „dojrzałych slipek zapach cieplej” (4), „topola składa liść jak rymy” (6), „rośnię nam miasto, rosną nam ludzie” (8), „nigdy jeszcze tak bardzo nie kochałem życia” (12).

W mądrym współbrzmieniu smutku przemijania i radości trwania wyraża się piękno poetyckiego przemijania — i doświadczenia — i człowieku. Tę mądrość i to piękno dyktuje poecie „miłość warka i żarliwa”, miłość, którą potrafił poeta przesycać swój trud artystyczny, oddany wzruszeniom głębokim, bo i własnym, indywidualnym i powszechnym, ogólnoludzkim.

OD COPACABANU
PO STAWISKO

SKORO padło słowo o miłości do ludzi i świata, o zdolności wyrażenia jej w sposób przekonujący siłą wzruszenia, to trudno się powstrzymać od konkretnego przykładu. Jest nim siódmy wiersz tego cyklu. Najpiękniejszy to chyba wiersz, zwłaszcza druga, trzecia i piąta strofa.

Można by o tym wierszu tak: jest to wiersz wyrażający idee międzynarodowej wspólnoty obozu pokoju, wiersz do głębi internacjonalistyczny a jednocześnie patriotyczny, jednym słowem — utwór dojrzałej wiedzy pisarskiej o wspólnotę pokojowego świata i miłości przeobrażającej się ojczyznę. Takie określenie byłoby prawdziwe. Jest prawdziwe.

Wolę jednak o tym wierszu inaczej: Iwaszkiewicz przeżywa i jako człowiek i jako artysta wspólnotę ludzi miłujących swój kraj i swoją ideę w sposób konkretny, wpisany w realne wzruszenia, przywiązania,

Mówię na przykład: „U ciebie

Amado — na Copacabanę?”

„Góra nadmorska — zanim

Przeziera się w oceanie.”

Jednocześnie — kochając inne

kraje, innych ludzi innych narodów —

świadczy prawdziwie ciepło, i

tymnie niemal wyrażonej miłości

własnego kraju, własnego narodu,

Mówiłem także: „Wracam do

„Czy to daleko, czy blisko?”

„Pośrodku świata sosna na

I dom pod sosną: Stawisko”.

Ta wymiana ogólnika na konkretny

sercu najbliższy, to mądrość poetyckiego

świadczania miłości,

Iwaszkiewicz zwycięża jako arty-

sta, bo wie, że jest

„W nieskończoności,

w morzu miłości

do ludzi”.

Świadomość tej konkretnej, konkretnie

i pięknie realizowanej miłości do ludzi daje wierszom jego

i poematom to ciepło, które w nich

czym nie przypomina odległych

gwiazdozoborów październikowych,

wymarłych i zastępych w pożyczonym

blasku, lecz jest ciepłem mocnym

i mięknie bijącym serca,

Dlatego też wszyscy chyba muszą

podnieść i podnosić protest przeciwko

klamstwowi, które Iwaszkiewicz —

choć ich z wierszy nie wymaga —

powinien z siebie wykreślić.

W dziewiątym utworze jesiennego

cyklu Iwaszkiewicz kłamie o swych

wierszach, że „za późno się urodzi-

ły” i że te — jego nieprawdziwym

zdanem — „wiersze spóźnione nie

nadają, nie nadają”. To może być

tylko sarkazm, ale nie prawdziwa

autocena. Zgodnie i stanowczo pro-

testujemy: oby jak najwięcej da-

wał nam ciągle tych „spóźnionych”

wierszy! Oby wiele innych tak na-

dażalo, nadażalo.

W ostatnim wierszu cyklu jesiennego

poeta oblicza:

„Zostanie po mnie tu mój ród,

i parę słów i parę snów,

miłości dreszcz i szczęścia głód,

z których się zrodzi pisarz znów”.

Czas zaprotęstować przeciwko

nadmiernej „licentiam poetarum”.

Tych „parę słów” jest dla poety

metaforą niesprawiedliwą. Nasze

obliczenia są inne, a sam poeta

przecież każdym nowym wierszem

każe nam te obliczenia poprawiać.

Chcemy je poprawiać jak naj-

częściej...

DZIS I JUTRO

5

BRONISŁAW MAMON

NAD DRAMATEM POZYTYWIZMU

„Dramaturg dzisiaj jest nie tylko artystą i sztukmistrzem — jest myślicielem, propagatorem, (J. Narzyski, Słowo o teatrze)

KAZDY, kto chce ogarnąć historię dramatu polskiego w okresie pozytywizmu warszawskiego, musi być zdumiony wielością kierunków, ilością nazwisk autorów, liczbą tytułów książek (o których pamiętają jedynie „szperacze” archiwalni).

Uprawiane są — dramaty historyczne: A. Belcikowski, J. Szujski; dramaty ludowe: L. Anczyz; farsa: S. Dobrzański, Z. Przybylski; dramaty społeczne: Narzyski, Lubowski, Sarnecki, Zalewski.

Spśród tych kierunków, nurtów i podziałów należałoby jeszcze wyróżnić utwory dramatyczne Norwida, częściowo Bałuckiego, Bliżńskiego i Świętochowskiego, jako zjawiska nie mieszczące się bez reszty w zamkniętych szufladkach.

Mania pisania „dramy” była tak powszechna, że ulegli jej najwybitniejsi prozaicy i poeci tej epoki: Orzeszkowa, Sienkiewicz, Asnyk...

Można by wymienić dziesiątki nazwisk, setki tomów. Ale po co? Dla współczesnego, średnio wykształconego czytelnika, który wie tyle o dramacie pozytywistycznym, że Bałucki jest autorem „Grubych ryb”, a Bliżński „Pana Damazego”, nazwiska pozostałych dramaturgów są pustymi znakami, które nie budzą żadnych skojarzeń znaczeniowych — nie dają określonych wyobrażeń. Ale czy tylko dla czytelnika średnio wykształconego? Nawet ludzie, którzy kończyli polonistykę, zapomnieli nazwisk (przelotnie zaślanszanych w czasie studiów): J. Chęcińskiego, S. Dobrzańskiego, W. Koziebrockiego, W. Sabowskiego, Z. Mellerówny, W. Szymanowskiego, D. Zglińskiego.

A listę pisarzy z tego okresu, skazanych na zapomnienie, można by powiększyć co najmniej dziesięciokrotnie. Kto dziś czyta „Młynę Mniskówkę” Szujskiego, Bolesława Śmiałego Belcikowskiego, „Braci Lerche” Asnyka? Jeśli by nawet ktoś wziął do ręki jeden z wymienionych utworów, odłoży po paru minutach na najbliższą półkę biblioteczną, okrytą grubą warstwą pyłu i siatką pajęczyn, z postanowieniem — „nie będę tego nigdy czytał”. Cóż zniechęca czytelnika do tych dramatów? Rozpoznaszony dydaktyzm, kronikarski sposób ujmowania historii, straszliwa nuda, wynikająca z nieumiejętności zarysowania ostrych konfliktów, rozgadanie, brak poczucia rygorów kompozycyjnych, niestrawne „rozliryczenie”.

Wielkim uznaniem należy mówić o wydanym tomie niektórych dramatów epoki pozytywizmu warszawskiego — jest to próba ocelenia od zapomnienia kilku utworów dramatycznych trzech niegdyś głośnych pisarzy. Dramaty, które pomieszczono w tomie: Z. Sarneckiego „Febris aurea”, E. Lubowskiego „Nietoperze” i „Jacus”, K. Zalewskiego „Przed ślubem” i „Friebe”, należały już do rzadkości bibliograficznych, drukowane były przed rokiem 1900, jedynie „Nietoperze” Lubowskiego wznowiono w 1913 roku.

Wyboru utworów dokonał T. Siwert, zaopatrując je we wstęp i przypisy.

Należy podkreślić, że wstęp jest bardzo solidny i szczegółowy. Składa się z siedmiu dużych rozdziałów, jeden z nich — „Dramaty Z. Sarneckiego, E. Lubowskiego i K. Zalewskiego w świetle warszawskiej krytyki teatralnej” napisał Jacek Lipiński, pozostałe są pióra T. Siwerta.

We wstępie książki postawiono szereg zagadnień: stosunek tych utworów do rzeczywistości historycznej, kierunki i tendencje miesz-

kańskiego dramatu francuskiego w epoce Drugiego Cesarstwa, rozwój mieszczańskiego dramatu pozytywistycznego w Polsce, filiacje literackie między dramatem polskim a francuskim — a wreszcie najciekawszy problem: zacieranie się granic rodzajowych w tym czasie między komedią a dramatem; powstają nowe typy dramatu: „comédie serieuse”, „pièce”, „théâtre utile”, „pièce a thèse”. Poświęcono również kilkanaście stron analizie sztuk dramatycznych naszych komediopisarzy.

Szkoda tylko, że autor wstępu poprzestął w tym wypadku na podaniu informacji biograficznych, wymienieniu kilkunastu utworów, „streszczeniu” paru — zamieszczonych w tomie, nie syntetyzując wniosków, które by się dało wyciągnąć z nagromadzonego materiału. Nie pomijając zagadnienia doniosłości historyczno-literackiej dramatów wymienionych autorów, zapytajmy, jaką wartość posiadają dla nas wydane teksty?

Czy potrafią jeszcze wzruszać współczesnego odbiorcę, stanowiąc źródło przeżyć estetycznych, pobudzać emocjonalnie? Sztuki Sarneckiego, Lubowskiego i Zalewskiego przeżywały kiedyś okres głośnych triumfów, przez wiele lat nie schodziły z afisza teatralnego. Krytyka recenzująca te dramaty zachylała się pochwalnie. Kiedy się przegląda prasę z tamtych czasów, obojętnie czy to będzie „Kurier Warszawski”, „Gazeta Polska”, „Kurier Codzienny” lub „Słowo”, wprost się nie chce wierzyć, że utwory te w konkretyzacji scenicznej cieszyły się taką popularnością widzów. Wydaje się to tym dziwniejsze, że publiczność polska przyzwyczajona do sztuk Bliżńskiego i Bałuckiego, które przede wszystkim chciały bawić i wzbudzać śmiech u odbiorcy, z sympatią protaktowała dramaty Sarneckiego, Lubowskiego i Zalewskiego, które nie cofały się przed ukazaniem głębszych konfliktów etycznych i społecznych. Sarnecki, Lubowski i Zalewski byli wierni aż do przesady aforyzmowi, który sformułował J. Narzyski: dramaturg powinien: „ostrzeżać przed zgubnymi prądami, prześladować przesady, sieć i chłostać wszędzie, co podłe i nikczemne, idealnie wieść w sferę szlachetniejszą, postaciami bohaterów budzić odwagę gasnącą i wyszczelnić duszę, podnosić kwestie społeczne, których kodeks nie obejmuje, słowem kuć uparcie te drogi postępu, jaką ludzkości idzie, pchać bryłę silnymi ramionami”.

Rola pisarza ograniczała się do wiernego studiowania życia, do chwytania palących problemów chwili, które determinowały koncepcję artystyczną utworu. Wpływały na jego kształt literacki. Ci trzej polscy dramaturdzy odzwierciedlają jednak w swoich dramatach z większym lub mniejszym powodzeniem „typowe” sprawy burżuazji lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Zainteresowania ich obracają się w kręgu takich motywów: ukryty skarb („Febris aurea”), publiczna plotka („Nietoperze”), zrobienie dobrej partii („Przed ślubem”). Motywy te pełnią funkcję wiązań kompozycyjnych w strukturze utworu, łączą ze sobą wątki, organizują materiał fabularny, wyznaczają linie akcji. Dramaty pełnią rolę nagromadzenia realiów materialnych, obyczajowych, kulturalnych...

Wnikliwie jest przeprowadzona charakterystyka moralności burżuazji.

W centrum wszelkich spraw leży pieniądź. Znamienne są słowa baronowej z „Jacusa”: „Majątek daje wszystko... „rozum, ukształcenie, ogładę, duszę nawet... Pieniądź chrczi na nowo, brzydkiemu daje urodę, głupiemu rozum, wyobraźnię

i dowcip, choremu zdrowie, zbolełemu pociechę”.

Na scenę Zalewski, Sarnecki i Lubowski wprowadzają wielką finansjerę pochodzenia żydowskiego, niemieckiego i polską arystokrację: baronów i książy, którzy wyczuili ducha czasu i wchodzą w koligację z bogatym mieszczaństwem. Akcja dramatów przenosi się coraz częściej z salonów do alkowy lub buduaru. Pisarze ukazują brud, cynizm transakcji giełdowych, ogólną demoralizację i komercjalizację uczuć zepsutego świata. Wskazują czasem, ale bezradnie, na ideały. Tworzą pozytywnych bohaterów, którzy przeciwstawiają się złu społecznemu i moralnemu. Bardzo charakterystyczny rys dla epoki kapitalizmu — że pozytywnych postaci poszukuje się wśród inżynierów (inż. Juliusz z „Febris aurea”, inż. Leon z „Nietoperzy”).

Postaci te uznają potrzebę „uczelnego” bogactwa się. Wartość tych pięciu dramatów, które zostały przygotowane do druku przez T. Siwertę, a wydane przez Ossolineum, zawiera się tylko w ich warstwie pozownej — jest to ciekawy dokument „zamierzchłej” epoki. I tylko pod tym kątem należy rozpocząć lekturę wspomnianych dramatów.

Będzie to jakby lekcja historii, której z przyjemnością wysłuchamy, ale która nas nie poruszy, gdyż ukazuje sprawy, od których jesteśmy oddaleni dziesiątki lat. A ponadto dramaty od tego okresu przeszedł ogólną ewolucję strukturalną. Dziś raz na sztuczność techniki dramatycznej tych utworów, utrudnia nam percepcję zawartości ideowej sztuk nainność i szablonowość wielu chwytów kompozycyjnych, modnych wzorów francuskich.

Bo przecież ci pisarze nie byli sobą. Powtarzali wersje świata, które stworzyli Sardou, Scribe, Augiere, Labiche... Przyjmowali bezkrytycznie cały arsenal tricków i zabiegów technicznych, jakie wypracowali francuscy komediopisarze. Byli tylko dobrymi rzemieślnikami, pojętymi uczniami u obcych mistrzów. Współczesnego czytelnika zniechęca do tych sztuk gadulstwo autorów, frazeologia, konwencjonalizm, retoryka, wszelkiego typu monologizm i „spowiedzi” — surowa publicystyka. Dramaturdzy ci byli lepszymi publicystami niż artystami. Słabość tych sztuk ma jeszcze inne przyczyny — bodają czy nie ważniejsze od poprzednich. Zjawisko

EUGENIA KOBYLIŃSKA

MAJKA DO SYNA

Czemu zaglądam w przerebel,
białego chłodu się boję?
Przecież wyrosłeś mi dębem,
Serce moje!
W przerebli toną mi wiosła,
nie mam już łodzi —
ale ty dębem wyrosłeś,
nadzieją wschodzisz.
Mój oddech w liściach ci

drzemał,
Krew moje gała pod korą —
ty mój wypiewasz poemat
nad połyskliwym jeziorem.
Ty życia się nie przeleknie,
przejmiesz się nim do

zachtystu —
zaśpiewaj, zaśpiewaj pięknie,
szerokolistny!
Zielony rozgwar obudzisz,
hymn życia pod niebo głosząc
i nie dla ciebie — dla ludzi
niech będzie cię twój i poszum!
I wiem, że kiedyś w jeziorze
trzciny jak świece zapłoną
i ujrysz odbicie Boże



blyskiem na wodę rzucone.
A wtedy skłębisz się cały,
krzykniesz, zaszumis,
zawiejesz
i stanie się rzecz uspaniała —
zahuczysz dąb epopeją!
Niech toną w przerebli wiosła,
o nic nie stoje,
gdy ty mi dębem wyrosłeś,
serce moje!

PISARZ NIEUGIĘTEGO PROTESTU



Antoni Czechow

„O Czechowie można napisać dużo, ale koniecznie trzeba pisać o nim bardzo zwarcie i precyzyjnie, a tego nie umiem”. Ta charakterystyczna wypowiedź Gorkiego, będąca dla wszelkiego autoramentu biografów i komentatorów twórcy „Wujaszka Wani” ostrzeżeniem i jednocześnie otuchą (no, bo jeśli Gorki „tego nie umie”) nie pozwała mi rozpocząć artykułu o Czechowie stereotypowym... „Urodził się 17 stycznia 1860 roku w Taganrogu jako syn drobnego kupca...”. Nie, tak nie można. Ani tu zwartości, ani tym bardziej precyzji. Sam szablon i rozwińność, które jakże obce były wielkiemu duchowi mistrza nowelistyki rosyjskiej, Antoni Czechow, który nie znośił uroczystych, wymuszonych przemówień, jubileuszów i ceremonii, Czechow, który na parę sekund przed śmiercią wychylił kielich szampana, jakby wznosząc toast za swą nieśmiertelną twórczość, Czechow wreszcie, który w swym jakże niewesołym i nielekkiem życiu nigdy nie tracił pogody ducha ani dobrego humoru — z pewnością skrzywiłby się z niesmakiem na wymuszone, schematyczne, poświęcone mu epitafium, składające się z omówienia: 1) życiorysu, 2) zarysu twórczości i 3) wielkopomnego znaczenia tejże twórczości. Nie tedy więc droga...

A KTÓREDEY? Ot, chociażby przez widownię Teatru Kameralnego w Warszawie. W zeszłym roku na premierze „Wujaszka Wani” spotkałem się — jak to się mówi — lew w lew z autentycznym bohaterem wielu humoresek Czechowa, wyszydających drobnomieszczańską kulturowość i filisterstwo. Siedział obok mnie pewien facet, bardzo porządnie ubrany, zjadł z wazą towarzyszącą cukierki, rozwijając je z szelazkowych papierków, i z całego jego zachowania promieniowało niezwykłe zdumienie. Wszystko to, co dzieło się na scenie, tragiczne dzieło zmarowanego ludzkiego istnienia, pełna samozaparcia, a w konkluzji niepotrzebna praca wujaszka Wani dla cudzego szczęścia, ton opowiedziany jak najprostszymi słowami dialogu subtelny poemat o pięknie, ginącym bez celu — wszystko to dla siedzącego obok mnie faceta było... tylko nudne. Potwierdził to, zrywając się z fotela, niemal przed opuszczeniem kurtyny, kiedy szepnął: „Chwała Bogu, że już się kończy”. Tak, chwala Bogu, że u nas już coraz mniej takich „ludzi w futerałach”, gruboskórnych, nieczułych na ludzki ból, zagłuszających słowa o cierpieniach innych... szelestem rozwijanych cukierków.

SKORO użyty tu został czechowski termin „człowiek w futerałach” — nie od rzeczy będzie wspomnieć, że jest to tytuł jednego z najznakomitszych opowiadań, którego bohater, nauczyciel Bielikow, to nie tylko człowiek pozbawiony wyższych uczuć, zdolności reagowania na dobro i piękno — to przede wszystkim łepy biurokrata. (Kto wie, czy mój szelazkowy sąsiad z teatru również i tej cechy w sobie nie posiadał?) Biurokracja bowiem, którą w różnych jej przejawach, raz na zawsze ośmieszył Czechow w licznych swych utworach, w carskiej Rosji rozrosła się do rozmiarów wręcz monstrualnych. Ale nie tylko biurokrację wyszydzał Czechow jako plagę życia społecznego. Jego ostra satyra sięgała wyżej. Oto „Kapral Priszbiejew” — niezwykle stróż carskiej „praworządności”, wtrącający się do nieswoich spraw i węszyć wszędzie „rozruchy” — to już zjawisko typowe dla ustroju, opartego na systemie policyjnym. Taki jest również bohater opowiadania „Kameleon”, symbol ohędnej służalczości wobec władz. Ale czy Czechow od razu zabrał swą karę satyryki od piętnowania tych zasadniczych plag społeczno-ustrojowych? Skądże! Zaczęło się to zupełnie „niewinnie”. A nawet — nieoczekiwanie dla młodego studenta medycyny.

ZANIM Czechow zrozumiał, że ma talent, aż nadto dostatecznie posiadał bolesną wiedzę o tym, że jego cała, liczna rodzina stoi u progu

ędzy. Surowy i nieco dziwny w swych pseudoartystycznych zamiłowaniach pater familias Paweł Jegorowicz Czechow (nota bene syn wyzalonego chłopca pańszczyźnianego nazwiskiem Czech) musiał sprzedać swój sklepik i pracować za marne grosze u bogatego kupca. Matka parała się krawiectwem, a dwaj braciśkowie — studenci Aleksander i Mikołaj, zamiast do książek zagłębiali się do butelki. Dziewiętnastoletni Antosza oceniwszy sytuację doszedł do wniosku, że sam musi zająć się całą rodziną. Od dawna już było wiadome, że ma niezwykłą ostrość wzdęcia różnych śmieszności i słabości ludzkich, a że do tego dołączyła się łatwość formułowania tych spostrzeżeń w słowie, a nawet i w piśmie, spróbował szczęścia, posyłając do powstających w owym czasie nabywców po deszczu pisemek humorystycznych, różnych „Koników Polnych”, „Budzików”, „Rozrywki” i „Odrpysków”. Redakcje tych pism nie wymagały wiele od swoich dostawców. Ot, aby krótko i śmiesznie. A o czym? No cóż, tematów nie brakło. Wiarołomne żony i naiwni mężowie, pijacy, brzuchaci kupcy, zakochani subiekt, zasuszone nauczycielki. Komiczne typy i typki ówczesnej rosyjskiej rzeczywistości. Broń Boże, polityka, czy coś w tym guście! Właśnie dla odwrócenia uwagi społeczeństwa od spraw poważniejszych, w celu skierowania mieszczańskich umysłów na nieważne błahostki wszechwładny Pobedonoscew powołał do życia owe bzdurne pisemka. I tak oto — dosłownie dla chleba, nie w pogoni za laurami pisarza — związał się Czechow z Lejkinem, który był „naczelnym” w „Odrpyskach”. Lejkiniowi, który sam jak z rogu obfitości sypał różnymi mniej lub więcej płytkimi humoreskami, podobaly się króciutkie opowiadania Antoszy Czechonta, jak początkowo podpisywał się późniejszy twórca „Czajki”. Zaczęły więc powstawać różne felietony, humorystyczne dialogi i scenki, króciutkie, arcyśmieszne szkice. Pod czujnym i zadrzonym okiem Lejkina, który ani się domyślał, że na szpaltach „Odrpysków” rodzi się geniusz, drukował Czechow różne ucieśnienie historyjki, jak „Koniśkie nazwisko”, „Nieostrożność”, „Żywa chronologia” czy „Dzieło sztuki”. Ani Lejkini, który niechętnie podwyższał skromne honoraria Czechowa w celu zatrzymania go w swym piśmie, ani znakomita większość czytelników „Odrpysków”, zasmiewająca się z opowiadań młodego Antoszy, nie zdawali sobie sprawy z faktu, że te opowiadania, na pozór niczym nie różniące się od tysięcy innych rozsypanych po różnych „Konikach Polnych”, czy „Budzikach” — są naprawdę coraz to doskonalszymi dziełami sztuki...

JAKŻE się to stało, że humoreski Czechowa, który przez długi czas uważał sam siebie za jednego z szeregowych literatów — humorystów, zajęły w historii literatury nie tylko rosyjskiej, ale i światowej tak zaszczytne miejsce? Satyrę uprawiał przed Czechowem i Gogol, i Salty-

INNA, szczególnie charakterystyczną cechą większości utworów Czechowa jest u niego świadomie zresztą wprowadzone łączenie momentów komicznych z tragicznymi. Ta zasada estetyczna nie była u Czechowa rzeczą przypadku; wynikała ona z jego światopoglądu, z jego twórczych założeń: „W życiu — powiada autor „Trzech siostr” — wszystko jest zmieszane: głębia i płycizna, wielkość z nikczemnością, tragizm ze śmiesznością...” Ale jest też w twórczości Czechowa niemało pozycji, gdzie rezygnuje on z tej niezwykle dwubarwności nastrojów. Wystarczy przeczytać chociażby króciutkie opowiadanie pt. „Spać się chce”, gdzie zameczoną pracą, trwającą niemal 24 godziny na dobę, kilkunastoletnia dziewczynka dusi dziecko swoich chlebodawców, aby choć przez parę godzin mieć możliwość snu. Albo klasyczna „Sala nr 6”, wprowadzająca w ponurą atmosferę szpitala dla umysłowo chorych, dokąd przez intrygi trafia lekarz tego szpitala, aby namacalnie przekonać się o straszliwej tragedii umieszczonych tam chorych,

szarym, stwarzając nieśmiertelne typy ludzkiej obłudy, chciwości, przekupstwa, naiwności i bezczelności. Przymownym Pluszkina i Horodniczego, Cziczikowa i Chlestakowa... W tych postaciach — symbolach ludzkiej wady nie ma już właściwie nic ludzkiego... Skondensowanie w nich pewnych cech umyślnych czyni je karykaturami. To samo zresztą można powiedzieć o Harpagonie czy Tartuffie Moliere'a. Inaczej rzecz się ma z bohaterami humoresek Czechowa. Są oni ludźmi żywymy z krwi i kości. Są to zwykli, szarzy ludzie ze zwykłego, codziennego życia. Satyra Czechowa nie sięga do hiperboli. Operując po mistrzowsku skondensowaną narracją, Czechow uzyskuje najwyższy efekt stosowaniem metody kontrastu. Weźmy dla przykładu parę opowiadań z różnego okresu jego twórczości. Jaki przedziwny np. kontrast stanowią spóźnione plany życiowe tokarza Pietrowa wobec nieoczekiwanych i niemalże błyskawicznie po sobie następujących wydarzeń, przekreślających nieodwracalnie te spóźnione plany („Zgryzoła”). A tragiczna (a przecież i śmieszna!) postać starego dorozkacza w opowiadaniu pt. „Zal”? Nie mając przed kim ukryć się po stracie syna, dorozkacz zwierza swój ból... własnemu kontowi. Czyż tak właściwa człowiekowi potrzeba wywrażenia się ze swych przeżyć nie kontrastuje tu z obojętnością zajętych swymi sprawami bliźnich? I jeszcze przypomnijmy sobie zabawna sylwetkę angielskiej miss z opowiadania „Córa Albionu”. Ale tu sięgnijmy do wielkiej wypowiedzi Gorkiego: „Czczegodna publiczność czytając „Córę Albionu” śmieje się i prawie nie dostrzega w tym opowiadaniu niegodziwego znęcania się sytego pana nad człowiekiem samotnym, obcym wszystkiemu i wszystkim”. I dalej — już ogólniejsza, ale jakże trafna ocena twórczości Czechowa: „W każdym z humorystycznych opowiadań Antoniego Pawłowicza słyszę głębokie westchnienie czystego, prawdziwie ludzkiego serca... Nikt tak jasno i tak subtelnie jak Antoni Czechow nie rozumiał tragizmu drobiazgowych życiowych, nikt przed nim nie umiał tak bez litości, prawdziwie przedstawiać ludziom haniebnego i przykrego obrazu ich życia w mętnej chaosie mieszczańskiej codzienności”.

EDMUND MISIOŁEK

ARTYSTA I CZŁOWIEK

Wszystkim można się było poważnie zamysleć. Czy nie tu przeważyłki szczególnie dziś żywe znaczenie Czechowa jako przykładu i wzoru?

Inteligent dopiero w drugim pokoleniu, Czechow zespolił w swym życiu i pracy najlepsze cechy postępowej twórczej inteligencji. Początkowo lekarz-społecznik, przynależny do tej dziedziny surowe, maksymalistyczne pojęcie etyki zawodowej w dziedzinie literatury. Znamy liczne wypowiedzi Czechowa ujawniające jego stosunek do roli inteligencji w ogóle, a pracy pisarza-artysty w szczególności, wiemy też, że ściśle odpowiadała im jego twórcza praktyka. Czechow był ascetą literackiej alchemii, sumiennym i precyzyjnym artystycznym warsztatu mało miały sobie równych w światowej literaturze. Był mistrzem słowa i wzorem pracy nad słowem — w powiedzeniu Gorkiego o jego utworach, jako cudownie różnych w kryształach flakonach, nie ma przesady. Był na wskroś nowatorem we wszystkim co tworzył. Dał początek całkowicie nowemu rodzajowi dramaturgii: w swej komedii lirycznej zniósł granice między gatunkami. zespolił przeciwieństwa, połączył je nowym, nie spotykanym dotąd nastrojem — włączył wewnątrz, posłużył się dla jego wytworzenia elementami muzyki, plastyki, wszystkich sztuk. Podobnie jego humoreski, nowele, opowiadania uderzają pomysłowością, zaskakują niespodziankami w scenerii, obrazowaniu, psychologii. Czechow znał jak może nikt inny w literaturze rolę elementów niezwykłości i twórczej przesady, skrót-

mu podstawy — że zebrana w dniu 17 października 1896 roku na premierze „Czajki” publiczność składała się w swej niechlubnej większości z takich właśnie snobów i filistrów, którzy szukając w widowisku jakichś doroznych wrażeń nie potrafili pojąć nurtu wewnętrznego tej wielkiej sztuki. „Czajka”, o której Czechow zartobliwie powiedział: „Dużo rozmów o literaturze, mało akcji, pięć pudów miłości” — nie jest sztuką łatwą do zrozumienia. Istotną jej wartość polega rzeczywistość nie na akcji, nie na zawartych w niej licznych wątkach miłosnych, mniej lub więcej tragicznych. Nawet główny nurt akcji — tragiczne dzieje Niny i nieodwzajemnionej miłości Trigorina nie są w sztuce momentem najważ-

mu podstawy — że zebrana w dniu 17 października 1896 roku na premierze „Czajki” publiczność składała się w swej niechlubnej większości z takich właśnie snobów i filistrów, którzy szukając w widowisku jakichś doroznych wrażeń nie potrafili pojąć nurtu wewnętrznego tej wielkiej sztuki. „Czajka”, o której Czechow zartobliwie powiedział: „Dużo rozmów o literaturze, mało akcji, pięć pudów miłości” — nie jest sztuką łatwą do zrozumienia. Istotną jej wartość polega rzeczywistość nie na akcji, nie na zawartych w niej licznych wątkach miłosnych, mniej lub więcej tragicznych. Nawet główny nurt akcji — tragiczne dzieje Niny i nieodwzajemnionej miłości Trigorina nie są w sztuce momentem najważ-

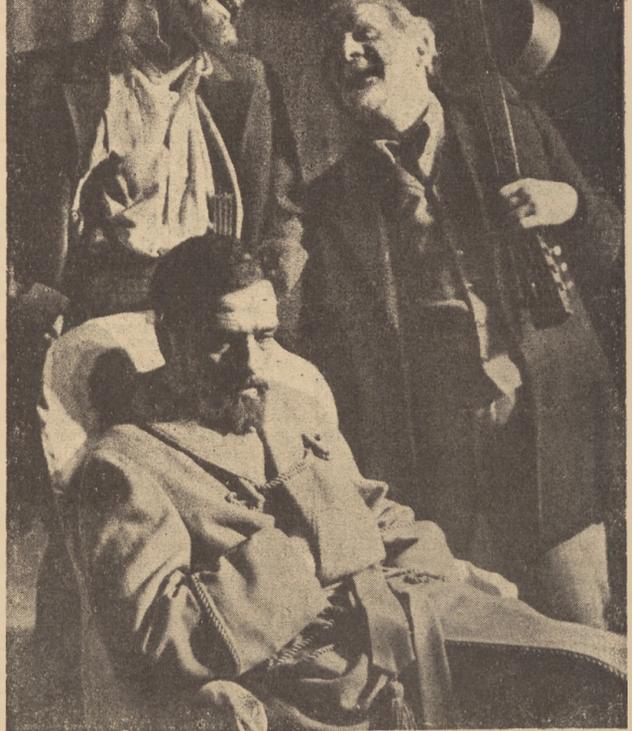
CZULY na wszelką krzywdę i nierówność społeczne, jak może nikt przed nim, a jednocześnie z właściwą mu wnikliwością oceniając wszystkie ciemne strony carskiej rzeczywistości, zapragnął Czechow opuścić się do najniższego kręgu piekła aleksandrowskiej „praworządności”. Nie bacząc na swe słabe zdrowie, nie licząc się z niezwykłymi trudnościami podjętej wyprawy wyruszył śladami zesłańców kibitek na wyspę Sachalin, miejsce katangi tysięcy ludzi, wśród których więcej było więźniów politycznych niż kryminalnych, a wśród tej ostatniej kategorii większość nie zasługiwała na półowny los, który im tam zgótowano. Rezultatem tej niezwykłej, odważnej podróży nie była powieść, ani zbiór opowiadań. Książka pt. „Wyspa Sachalin” — to zbiór artykułów publicystycznych, w których nie ma nic z fikcji literackiej, to wierny, wstrząsający obraz okrutnych warunków życia katorżników na tej pięknej, lecz surowej przyrody Północy. Książka ta odznaczająca się wysokim artystem — wiecznotrwale dokument zbrodni rosyjskiego absolutyzmu, wstrząsnęła opinią postępowej części społeczeństwa — nie mogła jednak wpłynąć na los udręczonych zesłańców. Czechow, który dość wiele podróżował po świecie, twierdził zawsze, że właśnie wędrowka na Sachalin, a nie gdzie indziej dała mu najwięcej zadowolenia wewnętrznego. Nic dziwnego, był to jego osobisty, obrzydliwy wkład w ową „ogólną ideę”, której daremnie poszukiwali bohaterowie jego nieśmiertelnych utworów.

CZECZOW uczy: „Wszystko, co nie ma bezpośredniego związku z opowiadaniem, należy bezlitośnie wyrzucić. Jeżeli w pierwszym rozdziale pan mówi, że na ścianie wisiał fuza, to w drugim lub trzecim ta fuza musi koniecznie wystąpić. A jeśli nie będzie strzelać, to nie powinna wisieć”. W myśl tej po stożkowej służnej zasady, skoro na początku wspominałem o moim spotkaniu w Teatrze Kameralnym z sul generis „człowiekiem w futerałach”, żywym dowodem aktualności czechowskiej satyry na drobnomieszczańską gnobizm i filisterstwo, uczyniłem to m. in. i w tym celu, aby nawiązać do pewnego smutnego wydarzenia w życiu Czechowa. Sądzę — i mam zresztą ku te-

nijszym. Służy tylko jako ilustracja do rozwinięcia pewnych założeń ideowych, które „Czajka” reprezentuje. A założenia te są proste: Trigorin jest pisarzem, nie pozbawionym talentu, ale wcześniej czy później talent ten zostanie zmarnowany, a on sam zginie jak zabita czajka. Dlaczego? „...Unoszę się w chaosie rojeń i złud — mówi Trigorin — nie wiedząc, komu i na co to potrzebne. Nie mam wiary i nie wiem, jakie jest moje powołanie”. A więc jeszcze raz brak „ogólnej idei”, brak konkretnych wytycznych w życiu staje się przyczyną klęski utalentowanego artysty.

W ŚRÓD publiczności teatralnej jest pewien gatunek ludzi — istniał on w epoce Czechowa i nie-

stety, istnieje jeszcze w epoce Kruczkowskiego — którzy w teatrze szukają doroznych przeżyć, skomplikowanej, emocjonującej akcji, nagromadzenia wydarzeń i nieoczekiwanych sytuacji. Ci poszukiwacze wrażeń idąc do teatru nie chcą pamiętać o tym, że — jak mówi Czechow — „ludzie nie strzelają do siebie co dzień, nie wieszają się, nie wznajają sobie ciągle miłości. I nie mówią też co chwila mądrych rzeczy. Raczej jedzą, piją, włożą się i mówią głupstwa... Trzeba napisać taką sztukę, w której by ludzie przychodzili, wychodzili, jedli obiad, mówili o pogodzie, grali w winta... Ludzie jedzą obiad, tylko jedzą obiad, a jednocześnie rozstrzyga się ich szczęście, łamią się ich życia...” I Czechow pisał takie sztuki, w któ-



Scena ze sztuki „Wujaszek Wania” w Teatrze Kameralnym

nych poprzez pozornie mało znaczącą akcję, jak złoto z popiołu przebiły się głębokie myśli o celu życia człowieka, o niepotrzebnie marnowanych wartościach, a czasem wręcz o nieości moralnej pewnych środowisk. Tak dzieje się w „Trzech siostrach”, tak też sprawa przedstawia się z „Wiśniowym sadem”. Ta ostatnia sztuka — ostatnia w sensie najdosłowniej, bo przedczesna śmierć Czechowa w r. 1904 spowodowana gruźlicą nieubłaganie przerywa twórczość pisarza w najbujniejszym jego rozkwicie — zawiera niemal wszystkie dotychczas spotykane elementy czechowskiego warsztatu pisarskiego. Jest tu kontrastowa zmienność nastrojów — od groteski do najbardziej subtelnej liryzmu, jest ostra satyra — krytyka ludzi, którzy „zją na kredyt” — a właściwie na rachunek ludu — a więc przedstawiciele klasy posiadającej — pasyżniczej. Jest tu ogólnie rzecz biorąc, potępienie starego ziemiaństwo — mieszczańskiego ładu, jego jałowości i bezsensu, w imię którego musi zginąć i piękny, pełen poezji, wiśniowy sad. Mimo tej zmienności nastrojów, sztuka kończy się optymistycznym okrzykiem młodzieńczej Ani: „Witaj, nowe życie!”. Intuicją genialnego pisarza Czechow przeczuwa, że przyszłość Rosji należy do młodego pokolenia, które nie tylko zasady mnóstwo pięknych wiśniowych sadów, ale będzie żyć inaczej, lepiej, szczęśliwiej. To Ania, jej rówieśnicy, to nadchodzące pokolenie odnajdują ową ogólną ideę, której na imię: socjalizm.

W ŚRÓD publiczności teatralnej jest pewien gatunek ludzi — istniał on w epoce Czechowa i nie-

cierpiących ludzkich istot. Zasadnicza miłość do życia i świata, przelamując się przez zło epoki, klóćąc się z faktami egoizmu, krzywdy, zacołania, filisterstwa, przechodziła we współczucie, główną dominantę jego pisarstwa. Jego humor zabarwiał się litością, wśród śmiechu pojawiała się łza.

Czechow należy do wielkiego zastępu pisarzy pocieszycieli. Ma najwyższe pojęcie o życiu — „wszystko powinno być piękne w człowieku” — lecz widzi zarazem jak bezudna machina politycznego i biurokratycznego państwa przyniata małych, szarych ludzi. Swym pisarstwem niesie więc pomoc człowiekowi. Wyraża protest, jak w „Kapralu Priszbiejewie”, ukazuje horyzonty postępu — „ludzkość idzie naprzód doskonałając swoje siły” — wyzwa do czynienia sobie ziemi przysięgą. Rozważania o lasach w „Wujaszku Wani”, to szczególnie piękna deklaracja wiary w ludzką kulturę i postępek. Przy tym wszystkim Czechow zna złożoność i tajemniczość ludzkich spraw. Wie, że cierpienie, nie do końca odwracalne, jest istotnym nurtem naszego losu. Lecz nawet z niego Czechow umie wycisnąć nowe wyzwalające perspektywy.

Inscenizacja teatralnych dzieł Czechowa nie jest sprawą łatwą, lecz pokonane na jej polu trudności odplacają się pięknym najwyższego rzędu. Dlatego z taką niecierpliwością czekaliśmy na najnowsze premiery czechowskie, krakowski i stalinogrodzki „Wiśniowy sad”. Dlatego pragniemy więcej przedstawień Czechowa. Nie tylko w jego roku jubileuszowym.

MYŚLĘ więc, że jasne się staje, dlaczego nazwałem Antoniego Czechowa pisarzem nieugiętego protestu. Jeśli by ktokolwiek miał w tym względzie jakieś wątpliwości, niech sięgnie po jego utwory. I po te, które już czytał, i tym bardziej po te, których jeszcze nie zna. Chciałbym tylko dodać, że Czechow swój nieugięty protest wobec carskiej „praworządności” wyrażał nie tylko w swych utworach, ale również swą postawą życiową. Jednym z tych przejawów była — omawiana już przeze mnie podróż na Sachalin i w związku z nią wydana książka. Drugim — również istotnym — było jego zerwanie się tytułu członka Akademii Nauk na wieść o skreśleniu z listy jej członków Maksyma Gorkiego — jako „politycznie podejrzanego”.

W liście do brata Aleksandra, który skarżył się pisarzowi na różne przykrości rodzinne — a był to człowiek słaby i chwiejny — Antoni Czechow pisał:

„...Wiesz, że masz rację, więc trzymaj się swego, bez względu na to, co mi będą pisać i cierpieć z tego powodu... W nieugiętym proteście krwi się cała sól życia, mój drogi!”

P I S A R Z I K R Y T Y K

1.

(Kilka uwag o twórczości Zofii Nałkowskiej)

WYDANE niedawno „Pisma wybrane” Zofii Nałkowskiej zawierają kilka zamieszczonych w całości lub w fragmentach utworów pisarki, poczynając od powieści z r. 1907 — „Książę”, aż po ostatnie już „Węzły życia” czy „Medaliony”. Zawierają poza tym parę autobiograficznych szkiców-reportaży autorki, przedrukowaną jej odpowiedź na ankietę Nowej Kultury: „Pisarze wobec dziesięciolecia”, wywiad, przemówienie, wreszcie fragment książki o ojcu — Wacławie Nałkowskim.

„Uważając rzeczywistość za niezaprzeczone źródło natchnień tematycznych — sądzę, że powinna być w dziele twórczym doznana poprzez człowieka — jego los, jego uosobienie, jego cechy indywidualne, jego — powiedzmy to słowo — psychologię”.

Ta wypowiedź Zofii Nałkowskiej jest wyrazem jej zasadniczej postawy twórczej zachowanej niezmiennie od okresu wczesnej twórczości pisarki po dzień dzisiejszy. Zainteresowanie człowiekiem i jego wszystkimi najbardziej „szarymi” sprawami znalazło swój deklaracyjny wyraz już w r. 1913 w tomie opowiadań „Lustra”, a potem pogłębiło się wciąż (jedną z przyczyn tego pogłębiania było, jak wyznaje Nałkowska — przeżycie pierwszej wojny światowej), aby osiągnąć szczyty, których wyznacznikami są między innymi takie pozycje jak: „Romansy Teresy Hennert”, „Charaktery”, „Sciany świata”, „Choucas”, czy „Medaliony”. Powieści, nowele i dramaty Nałkowskiej dają nam bogatą galerię postaci, które są niejako rezultatem przecięcia ich cech będących wynikiem przynależności do określonego środowiska społecznego z ich ciekawym zawsze i bogatym obliczem indywidualnym.

Chronologiczny przegląd utworów Nałkowskiej mówi nam o wyraźnym rozszerzeniu się i wzbogaceniu „środowiskowych” zainteresowań pisarki: od inteligentów-salonowców, hrabiów i książy załadniujących utwory Nałkowskiej z okresu modernizmu przechodzi pisarka coraz bardziej do „szarego”, przeciętnego człowieka, ukazując często jego niedzę i dzielącą się mu niesprawiedliwość. Te różne grupy pokazuje nam autorka w ich wzajemnych stosunkach, łączących ludzi z suterem z tymi z piętra. Nałkowska rzadko ukazuje różnice klasowe jako zdecydowaną, ostrą walkę, nie ucieka się nigdy do odautorskiego rezonowania na te tematy, nie usiłuje nadawać bogactwom czarnych charakterów, a wszystkich ubogich — przybierać w togi bohaterstwa, czy anielstwa.

Powściągliwość środków wyrażania, tak charakterystyczna dla całej twórczości Nałkowskiej i w tych przedzie sprawach daje rezultaty niewątpliwie wspaniałe. Często jednak jakaś pozornie marnogłowa wypowiedź którejś postaci, czy narratorki, przypomina o smutnym fakcie społecznych „granic” wyraźniej, niż by to mogło zrobić głośne rzucanie gromów i oskarżeń. W „Domu kobiet” służąca Zofia, bynajmniej nie katowana, ani nie wyzyskiwana skrajnie przez swe liczne pracodawczynie, odzywa się mimochodem w momencie, gdy panie jej zachwycają się pięknem wiosennego dnia: „każdego do tej wiosny ciągnie. A dla mnie wszystko jedno, czy tam lato, czy tam zima. W kuchni zawsze jednakowo, nie odejdę, póki nie pozwywam, nie postawiam, nie poprzyżam. Każdy myśli, żeby uwalniać i porzucić, a ja, żeby umyć i poustawić”.

W podobny sposób — skrótkowo i oszczędnie ukazuje Nałkowska granice dzielące ludzi na dwa światy, gdy starościna, pani Ciwska, upomina swego synka, „żeby się nie bawił z dziećmi ze stodoły, bo są brudne i mogą być chore” („Węzły życia”). Przynależność do określonej klasy i środowiska — to jedna strona oblicza człowieka. Drugą jest jego ludzka natura, jego wszystkie, codzienne, najbliższe, własne sprawy.

Bohaterowie książek Nałkowskiej są pełnokrwistymi ludźmi, a wszystkie ich najbardziej „prywatne” sprawy nabierają w artystycznej wizji autorki swoistej ważności i godne są najgłębszego zainteresowania. Ważne są skomplikowane cierpienia psychiczne Joanny Nielewiczowej z „Domu kobiet”, czy „niedobra miłość” pułkownika Omskiego z „Romansu Teresy Hennert”, jak i gospodarskie kłopoty Dziobaków dreptających nieporadnie dookoła swych paru grządek z jarzynami i uwiązanych na sznurkach kur („Dom nad łakami”). W tym żywym zainteresowaniu dla wszystkich spraw ludzkich widac wyraźnie przejaw jednej z zasadniczych postaw Nałkowskiej — jej miłości człowieka i miłości życia.

„Najbardziej ukochaną z istot żywych, poręczającą mi dobro rzeczywistości, jest dla mnie człowiek”.

Ta wypowiedź expressis verbis autorki znajduje całkowite potwierdzenie w jej twórczości literackiej. Pasja życia znachodzi swój wyraz w życiowym i „ciekawym” podpatrywaniu najdrobniejszych nawet gestów ludzkich wyrażających ich ważne zawsze wnętrza, w obserwowaniu zachowań się zwierząt —

tej uroczej galerii bohaterów książek Nałkowskiej, pasja ta przejawia się w pełnym dezaprobaty i potępienia stosunku do wszystkiego co jest zaprzeczeniem, lub choćby zachwianiem największej wartości — życia.

Pasja życia — „napiętnowani” są wszyscy nieomal bohaterowie utworów Nałkowskiej, wyższy oczywiście jej książki z okresu modernizmu.

Miłość życia może wyrażać się jako egoistyczne, brutalne rozpychanie się lokciami w poczuciu ogromnej ważności własnej osoby; może być również pełną powagą zgodą na istnienie jako dar natury, zgodą — wytwarzającą promienną radość. Ta druga właśnie postawa jest udziałem bohaterów Nałkowskiej.

Któryś z bohaterów Zofii Nałkowskiej mówi, że aktualne istnienie jest zawsze większym dobrem od przeszłości, choćby subiektywnie szczęśliwej; dlatego, że jest czymś co istnieje, co nie przeminęło i dlatego także, że każdy moment życia wzbogaca nas duchowo, dodaje coś nowego do naszej osobowości.

Bohaterowie książek Nałkowskiej mają w sobie życie bogate i intensywne. Powściągliwym, po mistrzowski oszczędnym językiem mówi autorka o uczuciach gwałtownych i płomiennych, o przeżyciach bujnych i często — nieprzeciętnych. Nałkowska pokazuje różne rodzaje i niuanse miłości człowieka i niuanse miłości do świata: od najbardziej gwałtownej, połączonej z „dziką” zazdrością, przerażającą się często w nienawistę miłości Omskiego czy Bliźbora, do czystego, subtelnej i na polu dzieciennego jeszcze uczucia „małej Sosie” z „Choucas”, czy Julka Słuckiego z „Niedobrej miłości”. Miłość bywa niekiedy promienną i „zaradliwą” jak w przypadku uroczej Rosjanki Alicji („Choucas”), bywa również „nienasycona”, uosabiająca zakochanego ponuro i niezyciawie wobec świata, może być także ofiarna i oczyszczająca jak w wypadku Bini Gondził.

Zawsze przecież ma w sobie coś z cierpienia i tragizmu, który zresztą przeważnie nie jest wcale wynikiem zewnętrznych przeszkód w małżeństwie. Może niejedną krytykę „trzęsawy” i „roztrony” widziałby w takich koncepcjach motywu miłości — niebezpieczne i bezcelowe trwonienie sił godnych lepszej sprawy. Cóż jednak paradzimy na to, że autorka tak właśnie sprawy tę widzi, tak je upodobała i — jest chyba rzeczą bezsporną — osiąga przy tym wspaniałe kreacje.

Umiłowanie człowieka i wszystkich jego spraw, miłość istnienia wyklucza i przekreśla to wszystko co nie jest życiem, co życiu zagraża, co jest śmiercią. Dwa są, jak się wydaje, główne źródła najbardziej wstrząsających przeżyć bohaterów Nałkowskiej: jednym jest owa tragiczna, „niedobra” miłość, drugie — to atak na życie. Przez całą twórczość Nałkowskiej przejawia się motyw wojny, widzianej jako potworny, bezsensowny zamach na miliony istnień ludzkich, na kulturę duchową i materialną. Nierządki są motywy więzienia — instytucji pozbawiającej ludzi normalnych, elementarnych praw bytowania. Wstrząsające wrażenie robi bohaterka „Scian świata” — piękna służka Marcja, która doświadcza obłądka na tle tęsknoty do nieznanego ojca. I tu w tym naturą buntuje się przeciw niesprawiedliwości, domaga się pełnego, prawidłowego życia.

Dwie imperialistyczne wojny światowe — 1914 i 1939 roku, znalazły odbicie w wielu utworach Nałkowskiej. Autorka nie analizuje wojny jako splotu określonych momentów gospodarczo — społecznych, lecz skupia się na jej zjawiskowej stronie. Nie dlatego, żeby nie potrafiła tamtych węzłowych spraw dostrzec, ale dlatego chyba, że ta zjawiskowa strona wojny już wystarczy do przeżycia największego oburzenia. Potworność wojny rzadko ukazywana jest w epickich obrazach i opisach, nie ma w utworach Nałkowskiej scen batalistycznych; autorka ukazuje wojnę w kategoriach psychologicznych — w przeżyciu ludzi — „cywilów”, którzy najmniej orientowani w przyczynach i celach imperialistycznej wojny — największe ponoszą straty. Ofiarą wojny jest przede wszystkim — lud prosty, bezradny i zdezorientowany, całe swe bezsilne cierpienie wyładujący w rozpacz, że jakiś syn czy mąż najdroższy jadąc na wojnę „rekawicami zabaczył” („Tajemnice krwi”). Brak orientacji a nawet już bezmyślność cechuje oficerów w rodzaju Omskiego, który namiętnie lubi wojażkę, obojętnie za jaką sprawę. Nałkowska odziera imperialistyczną wojnę z nimbu wielkości i bohaterstwa, które chciałoby w wojnie widzieć ludzie w rodzaju Omskiego, „Oni głębokością swego wzruszenia mierzą piękność świata. Dla nich sprawa jest dobra, ponieważ przelali za nią dużo krwi. Nie zaś odwrotnie.” —

Mówi o takich „bohaterach” jedna

z osób „Tajemnic krwi”, Konsekwencje wojny to nie tylko utracenie najbliższych, nawet nie tylko kalectwo ludzi podobnych do „Błażeja” — żalostnego tułowia bez kończyn, posuwającego się na kółkach ulicami wielkiego miasta („Charaktery”). Koszar przeżył wojny do dziś zatruwa wielu ludziom wrażliwym pogodę codziennego dnia, powoduje „niedobre poranki” („Charaktery”), których nie zdola usunąć powodzenie w pracy, dobrobyt materialny, młoda, kochająca żona. Inne „reszeczki wojny w okresie pokoju” — mówiąc słowami jednego z bohaterów „Romansu Teresy Hennert” — to niska moralność mniej odpornych jednostek, życie z dnia na dzień, egoizm i płaskość.

Najwspanialszy i najbardziej wstrząsający protest Nałkowskiej przeciwko wojnie to „Medaliony”. Ukazuje tu pisarka bestialstwo hitlerowskie jako zorganizowaną akcję mającą cel „polityczny” i „ekonomiczny”, Głęboki artysta „Medalionów”, forma rzeczowej, oszczędnej w słowa, powściągliwej relacji wzmaga w czytelniku wstrząsające wrażenie i oburzenie przeciw największemu w historii mordowi dokonанemu na ciałach i duszach milionów istnień ludzkich.

Koszar przeżyte tak dogłębnie wojny, jej niewiarogodna potworność nie odbiera przecież wielkiej pisarce wiary w to, że „wojny da się uniknąć”. Wiara ta gruntuje się na fakcie, że „prawa rządzące dziejami narodów przestały być tajemnicą przeznaczenia, że przez nowoczesną naukę dają się wykryć i ustalić”. Przyczyna wojny jest „urogi ludzkości interes nielicznej warstwy społecznej, która nie chce się wyrzec władania cudzą pracą i obracania jej owoców na własną korzyść, warstwy, dla której cudze męczeństwo, śmierć i zniszczenie stają się jedynym warunkiem przetrwania”. (Z przemówienia Zofii Nałkowskiej wygłoszonego na Kongresie Pokoju w Pradze w roku 1949).

2.

GŁĘBIA myśl i wielkość artysty dzieł Zofii Nałkowskiej nie są bynajmniej wynikiem jakiejś ślepej intuicji twórczej, czy szczęśliwego przypadku. Nałkowska należy do pisarzy, w których łączy się umiejętność wyrażania własnych, bogatych, oryginalnych wizji artystycznych z teoretyczną świadomością arkanów sztuki, z bardzo dobrym gustem wrażliwego na piękno, wnikliwego krytyka. Warto jest zrobić krótkie choćby przypomnienie sądów teoretycznych wypowiedzianych przez Nałkowską w wielu recenzjach literackich i ankietach przed 39 rokiem, a także i obecnie. Warto choćby i dlatego, że najbardziej godnym zaufania jest ten krytyk, który zastosował do własnej twórczości udzielane innym recepty i osiągnął przy tym niewątpliwie wspaniałe rezultaty.

Krytyka literacka Nałkowskiej obejmuje swym zasięgiem wiele różnorodnych pozycji i to zarówno pisarzy dwudziestolecia międzywojennego polskich i obcych, jak i pozycji literatury klasycznej (np. artykuł o „Kordianie” Słowackiego, o „Lalce” Prusa). Zasadniczo jednak koncentruje się na utworach powieściowych. Każda recenzja literacka Nałkowskiej opiera się na teoretycznych założeniach dających się zestawili w konsekwentny system. Węzłowe zagadnienie powtarzające się często to stosunek obranej przez autora formy artystycznej do tematu dzieła i do postawy moralnej twórcy. Nałkowska, jak się wydaje, stoi na gruncie zasady jedności treści i formy. Forma zdeterminowana jest przez temat, tematyki służy, a jednocześnie jest wyrazem moralnej postawy autora wobec przedstawianej przez niego rzeczywistości. Z tego wypowiedzianego przez Nałkowską już w latach 20-tych sądu, nie budzącego dziś już na ogół wątpliwości, wyprowadza autorka wnioski praktyczne: łatwo stać się może błędem artystycznym wyprowadzenie sądów o świecie i pouczeń moralnych w jakiś inny sposób, niż poprzez samo podejście do tematu, poprzez samą formę. Godzi tu autorka-krytyk w tych wszystkich gorliwów, których zbrożne chęci pouczania czytelnika o swej niezawodnej prawdzie, a przy tym niedostatek talentu sprawiają, że dzieła ich stają się przydługimi przemówieniami czy rozprawami publicystycznymi. „Nie trzeba nic od siebie dowiedzieć, sam ton, sam styl, sam niezawodny klimat świata i cieni, widoczny w danym razie, wystarczy” — mówi Nałkowska na marginesie artykułu o po-

wieściach Selmy Lagerlöf, napisanego w roku 1928. Postawa moralna autora wobec własnych książkowych bohaterów, jego sąd o świecie, wyciskają niezawodne piętno na utworze literackim, „niezależnie od tego czy (autor) jest tego świadomy, czy dzieje się tak bez jego wiedzy”. (Moralność Przybyszewskiego, Wiadomości Literackie 1928 r.)

Innym zagadnieniem poruszonym przez Nałkowską, również mającym swój praktyczny wydźwięk jest sprawa „opisywania” i „przedstawiania”. „Opisywanie” widzi Nałkowska w powieściach, które całe są niejako odautorskim komentarzem, uogólniającymi sądami autora na temat bohaterów, o których autor wie wszystko i dogłębnie. Wszystko w takich książkach jest „opowiedziane — nie przedstawione, nie dane do rozważenia czytelnikowi, ale gotowe, zdecydowane, w najwyższej mierze rozstrzygnięte” (Z. Nałkowska — „Pisana rzeczywistość”, Wiad. Literackie 1926). „Przedstawianie” zaś — to ukazywanie bohaterów w każdorazowym działaniu i przeżywaniu, a pozostawienie czytelnikowi trudu wyciągnięcia uogólnień i wniosków. Wyjaśnia to Nałkowska szczegółowo w swym artykule „Zwierzenia” (Nowiny Literackie Nr 1 1947). W technice przedstawiania „postacie ludzkie wychylają się z ram ku czytelnikowi — brylowate, krwiste, głośnie, ujęte behaviorystycznie. Nie mówią o nich „lubila podróżować”, albo: „miał zwyczaj śmiać się głośno” — tylko doraznie, jednorazowo: „wyjechała za granicę”, albo „parsknął śmiechem”. Większość bohaterów powieści i dramatów Nałkowskiej jest skonstruowana na tej właśnie zasadzie „przedstawiania”. Nie twierdzimy, że jest to jedynie trafna artystyczna metoda, niemniej jednak — nie ulega wątpliwości fakt, że bohaterowie Nałkowskiej to postacie naprawdę żywe, budzące szczerze współczucie lub podziw, pełne uroku i wstrząsające swym tragizmem. Powieści będące odautorskim komentarzami nie pozostawiającymi czytelnikowi „nic do samodzielnego myślenia”, nazywa Nałkowska „pisaną rzeczywistością”. Krytykując wtędy w roku 1926 pewne powieści francuskie, nie przewidziała autorka zapewne, jak wielkiej aktualności nabiorą jej sądy po latach dwudziestu ośmiu, gdy krytyka nasza wystąpi zdecydowanie przeciw chybnym pozycjom literatury dzisiejszej, które jakże często są właśnie nieudolnie „pisanymi rzeczywistościami”.

Oczywiście i technika „opisywania” niekoniecznie musi polegać na zbyt gorliwym i zbyt wyczerpującym odautorskim wypowiedzianiu „wszystkiego”. Nałkowska wspomina o częstej konieczności odrzucania przez wrażliwego pisarza „rzeczy, na które nie ma słów”. „Stosunek milczenia i słowa już jest stylizacją”. (Zofia Nałkowska — „Zwierzenia”). Na zakończenie przypomnijmy jeszcze wypowiedzi Nałkowskiej o koncepcjach bohaterów utworu literackiego. W artykule o „Kordianie” polemizuje autorka z tymi komentatorami dramatu Słowackiego, którzy potępiają Kordiana za jego przysługowiową już „niezdolność do czynu”, za brak męstwa itp. „Niewątpliwie jest — mówi Nałkowska — że dla wielkich twórców typ człowieka czynu bez zatańców i niemocy nie był dostępnym materiałem do arcydzieł”. I dalej: „Kordian” jako typ bohatera jest wyższy i bogatszy zarówno od tych, którzy by zamach bez wahań wykonali, jak od tej większości spiskowców w podziemiu, którzy mu się bez wahania sprzeciwiają. Siły ducha nie są mniejsze przez to, że ścierają się ze sobą”. (Podkreślenia moje A. R.). Oto niewymagająca komentarzy odprawa dana krytykom, zbyt ciasno, niezyciowo, schematycznie rozumiejącym literaturę i jej zadania.

Wydaje się, że nie potrzeba rozwodzić się szczegółowo nad udowodnieniem tezy, że wszystkie wymienione tu przez nas sądy krytyczno — literackie Zofii Nałkowskiej zostały wcielone przez nią w jej dzieła. Wszystkie jej utwory są doskonałym zrealizowaniem zasady jedności treści i formy (najwyraźniejszy przykład to „Medaliony”), wszystkie — wolne od mentorstwa — są przez sam temat i formę ujęcia — rzecznikami wysokiej moralności. Bohaterowie Nałkowskiej nie mają w sobie nic z łatwiną, są ludźmi żywymi, tworzonymi według prawidłowo rozumianego realizmu.

Wydawcom trzeba wytknąć nieregularne ukazywanie się czasopisma. Omawiany numer powinien być się znaleźć w sprzedaży w kwietniu, tymczasem trafił do rąk czytelników dopiero w połowie czerwca. Obniża to jego wartość, dezaktualizując podawane materiały.

S. Z.

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartalna 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wypłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wskładnicze RSW „Prasa” w Warszawie, Marszałkowska 35. Zam. 1578. 5-B-150081

DZIS I JUTRO

7

RYSY NA DYKTATURZE

(Dokończenie ze str. 3)

się do nowych warunków, wywrzozonych przez przymierze z Ameryką, stanowiły główny temat wszystkich przemówień.

„Przeznaczaniem Falangi — powiada jeden z jej „wodzów” Fernandez Cuesta — jest jej trwałość — wbrew temu, co mogą sądzić ludzie nie tracący żadnej sposobności, aby przygotować jej „akt zgonu” i którzy upatrują w zwolnieniu Kongresu „łabędy śpiew konającego ruchu politycznego”.

Cała niepewność sytuacji Falangi ujawnia się w tej części przemówienia Fernandez Cuesta, w której żąda on udzielenia partii gwarancji konstytucyjnych, na mocy których „jakikolwiek wystąpienie przeciw Partii stanie się aktem przemyco lub bezprawiem, aby nasi synowie i potomkowie, przekształceni jutro w ewentualne ofiary ewentualnych trybunałów „defaizngizacji”, nie złożyli nam za pozostawienie ich w politycznej niepewności”.

Wielkość niebezpieczeństwa ujawniona w tym żądaniu gwarancji oraz konieczność przystosowania się do nowych warunków, wytworzonych przymierzem z Ameryką, powinny skłonić przywódców Falangi do ustępstw w dziedzinie gospodarczej. Jednakże pobudki innego rodzaju nakazują im zachować gorliwość ideologiczną. Broniąc Urzędu i jego władzy od reglamentacji i kontroli — Falanga jednocześnie staje w obronie źródła osobistych dochodów swoich członków oraz zbiorowej potęgi grupy, której ilość zwolenników zależna jest od ilości przyznanych lub obiecanych synekur. Tymczasem te różnorodne urzędy wymagają regularnych i pewnych wydatków. Działalność, która — wiona na produktywność, która — stanowiąc sama przez się cel i usprawiedliwienie — jest nie do pomysłienia bez dużego rynku konsumpcyjnego. Podwójna konieczność zapewnienia sobie środków i stworzenia odpowiedniej ilościowo masy konsumpcyjnej skłania Falangę do wypowiedzenia się na zakończeniu Kongresu za nowym rozłożeniem dochodu narodowego, przeprowadzonym przez formę fiskalną i podwyższenie wydatków od dochodu i od praw spadkowych.

Tak więc, Falanga znowu dochodzi do głosu i, powracając do swych pierwotnych założeń, przeciwstawia

się jeszcze silniej swym oponentom, aby lepiej bronić swoich praw do życia, nieoddających od praw do rozkazowania. Konserwatyści mają swoje stanowiska, swoje interesy, których wystarcza bronić od zakusów rządu. Lecz niespokojne ambicje, zawisłe społeczne i chciwość, będące charakterystycznymi cechami Falangi, zaspokoić może jedynie posiadanie władzy. Siła Falangi polega na tym, że stworzyła biurokrację, która jest wyrazieliwą niespełnionych żądań i potrzeby odwetu, nurtującego średnie klasy społeczeństwa powstrzymanego w rozwoju. Biurokrata falangistowski pozbawiony swego stanowiska staje się nicnością. Jeśli jednak synekury w ministerstwach i urzędach oraz posiadanie władzy, umożliwiającej nakładanie haraczku na producenta, są jedynym bogactwem biurokratów falangistowskich, to przywileje te mogą oni utrzymać jedynie w ustroju stawiającym państwo w zależności od wszechpotężnej partii, której najważniejszą stanowiska są obsadzone przedstawicielami Starej Falangi. Dlatego też broni ona gorąco strukturę Jedynej Partii, zabezpieczającą jej przywileje.

Ta potrzeba „jedności” jest odpowiedzią na tendencję do rozpadania się, czego dowodzą sprawozdania oddziałów prowincjonalnych. Jedno z tych sprawozdań, z oddziału w Guipuzcoa, wzięte na chybił-trafił, stwierdza, że w tej okolicy fakt, iż się jest falangista, jest źle widzianym społecznie. W prowincji tej liczącej 395.000 mieszkańców, zaledwie 14 272 zapisanych jest do partii, większość zaś z nich nigdy prawie nie bierze udziału w zebraniach i nieregularnie płaci składki członkowskie. Sprawozdanie stwierdza, że „wzrastające zniecierpliwienie, z jakim członkowie klasycznej prawicy znoszą swoją przymusową przynależność do Jedynej Partii: „Tradycjonalności są niezadowoleni z ustroju; katolicy, którzy stworzyli sobie ze swej przynależności sztandar polityczny, są również niezadowoleni. Monarchiści wyrażają błąd ogorodek przykrości, jaką im to sprawia”. Ze swej strony „stare koszule falangistowskie” „nie umieją ukryć rozczarowania, jakie im sprawiło to, co uważają za straconą sposobność do przeprowadzenia narodowej rewolucji związkowej”.

Elena de la Souchère

ZDROWIE I NIEZDROWIE MALARSTWA

MINIMUM GESTU — MAKSIMUM WYRAZU



Stanisław Wójcik — Dzieci koreańskie w przedszkolu



Zbigniew Pronaszko — Portret żony

NARZEKANIA na naszą współczesną plastykę są tak powszechne, że stają się niemal nudne. Byłyby nudne, gdyby nie to, że są smutne i tragiczne.

Czy IV Ogólnopolska Wystawa Plastyki jest krokiem naprzód w rozwoju naszego realistycznego malarstwa? Jest dreptaniem w miejscu. Chyba, że rozwój utożsamia się z nową porcją umownych tematycznych kompozycji, których realizm, to przede wszystkim realizm literacki i opisowy.

Czy wypada tak ostro krytykować tę wystawę? Nie wypada, ale trzeba, bo na XI Sesji Rady Kultury i Sztuki mówiło się dużo o eksperymencie i walce z konwencjonalną poprawnością.

Czy eksperymentalne mają być psotkate martwe natury, które z powodzeniem mogłyby wisieć na wystawach z 1946 roku? A może kapistyczne pejzaże z 1936 roku?

Czym różni się obecna wystawa od wystawy zeszytowej? Widzimy na niej mniej stosunkowo obrazów tematycznych. Ich tematyka jest szersza i bardziej swobodna. Obok hutników pracujących są górniczy pijący piwo i robotnicy grający w karty. Widzimy więcej pejzaży i martwych natur. Niektóre pejzaże są bardzo ładne. Niektóre martwe natury są śliczne. Bardzo niewiele kompozycji figuralnych jest chociażby ciekawych.

Dlaczego tak jest? Wydawać by się mogło, że z chwilą gdy malarz przystępuje do pracy nad figuralną kompozycją, zaczynają go obowiązywać inne, nie malarskie prawa.

Malując pejzaż zachwyca się pięknymi drzewami, wiejskim domkiem przycupniętym w ich cieniu, odbiciem drzew i domku w jeziorze. Prosty, nieskomplikowany i zawsze czytelny temat pozwala mu skoncentrować uwagę na trafnym określeniu formy, na kolorze. Obraz jest prawdziwy. Obraz jest uczciwy. Obraz przekonuje widza.

Z chwilą gdy tylko zamiast domków i jezior Chmielna pojawiają się ludzie w kombinazonach, czuje się brak bezpośredniego przeżycia twórcy. Zamiast poezji, zaczyna się szkolne wypracowanie. Zamiast koloru — pojawia się zamazane błotko. Literatura zaczyna wypierać malarstwo. Nie ma na wystawie kompozycji figuralnej, której tematyka znalazłaby wypowiedź pełną, organicznie związaną z formą; wypowiedź na wskroś malarską. To się wydaje najdrażliwszym problemem i najsłabszą stroną obecnej wystawy.

Pisano już o dwoistości malarstwa, wykazując jak niejednokrotnie różne są obrazy malowane przez twórcę „dla siebie” — obrazy bez koturnów, od obrazów na wystawę — sztucznie wyreżyserowanych. Można by powiedzieć, że na obecnej wystawie pojawiły się martwe natury czy pejzaże malowane „dla siebie”, ale kompozycje są w dalszym ciągu oficjalne. Można je czytać — ale ich treść i ładunek emocjonalny nie narzuca się widzowi

syntezą czysto malarskich środków — pięknego koloru i pięknej formy.

O tym, jak szeroki jest wachlarz tych środków, świadczyć może chociażby tegoroczna Wystawa Guttusa. Guttuso nie podobał się estetom i obrońcom „czystego” malarstwa. Forma jego kompozycji, bynajmniej nie konwencjonalna i nie eklektyczna nie mieściła się równocześnie w umownych kanonach tzw. „dobrego malarstwa”. Ale tylko w pojęciu tych, dla których dobroć jest synonimem bezideowości. Wystawa Guttusa przeszła jednak bez większego echa, bez dyskusji. A szkoda, bo to drapieżne, politycznie zaangażowane malarstwo było dobrym przykładem tego, jak można w plastyce dobitnie i przekonująco wyrazić społeczne treści.

Z pewnością nie ma recept na malarstwo tematyczne. Z pewnością najgorsza z recept, to ta, której urzeczywistnienie tak często spotykamy na obecnej wystawie. Co jest jej cechą charakterystyczną? Brak równowagi między treścią a formą. W trosce o czytelność obrazu, o jego ideową poprawność, malarz często spycha na dalszy plan jego plastyczną atrakcyjność, jego koncepcję i wartość formalną, która przecież w ostatniej instancji zdecydowanie, czy obraz będzie rzetelnym dziełem sztuki, czy ulizaną malowaną. Większość figuralnych kompozycji na wystawie, to obrazy, na których

zacięty i które pogrzebała czysto literacka, nie malarska koncepcja. Warsztat plastyczny został w niej umniejszony do roli umownych, często eklektycznych środków i chwytów transponujących literaturę na płótno. Jest on pośrednikiem, a nie współtwórcą.

Dlatego uderza na wystawie brak eksperymentów własnie na polu malarstwa tematycznego, mającego decydujące znaczenie dla rozwoju naszej realistycznej plastyki.

Czy to powaga tematu skłania malarzy do ucieczki przed kolorem, do brudzenia całego płótna jakąś zawieszoną z umbrą, ultramaryną czy kraplaku? Daje to w wyniku obrazy o kolorycie tak niezdecydowanym, tak nieokreślonym, że po odejściu od nich na parę kroków i obejrzeniu innych, podobnych płócien — jedyną rzeczą, którą się z nich w najlepszym razie zapamiętuje, to ich treść, ich tematyka. Forma pozostaje nieważna, doskonale obojętna; kolor podobnie brudny i zdawkowy, koloru nie ma.

Jak różnią się te niepomysłowe obrazy od chociażby pejzaży Studnickiego. Każdy z nich jest malowany w odrębnej, określonej tonacji. Każdy ma indywidualny wyraz i nastrój. Każdy pomyślny jest jako obraz, twór na wskroś plastyczny, a nie ilustracja. Tego plastycznego myślenia brak jest w kompozycjach figuralnych.

Niezadowolający i nieciekawcy pod względem formy charakter wystawy, dość ostro kontrastuje z jej poziomem ideologicznym. Większość wystawionych prac świadczy o tym, jak wiele dokonano w ciągu czterech lat na polu uaktywnienia malarstwa i związania go z aktualnymi problemami współczesności.

Warsztat malarski wlezie się w ogonie tych przemian. Jest niewspółmiernie zacofany i niezdolny do pełnego wyrażenia nowych treści.

Próby pogłębienia wyrazu i udrumaczenia obrazów, jakie widzimy na paru przykładach z wystawy (np. „Bezrobotni Włosi”, sceny z Ghetta) będą zawsze zejściem na malarskie manowce, o ile wypływają nie tyle z udoskonalania środków malarskich, co z powierchowienia i teatralnej psychologizacji malowanych postaci. Wzbogacanie i wyrubowywanie anegdoty w obrazie nie jest równoznaczne z powiększeniem jego siły oddziaływania. Gadatliwość obrazu będzie gadatliwością czysto literacką.

Srodki malarskie pozwalają na wyrażenie treści w sposób na wskroś specyficzny, przy pomocy skrótów, syntezy czy skojarzenia, bez potrzeby malowania całej noweli.

Historyczne przykłady dobrego realistycznego malarstwa wykazują, jak niewiele miało ono wspólnego z literaturą.

KILKA SŁÓW

o literaturze

WRĘCZENIE L. KRUCZKOWSKIEMU NAGRODY STALINOWSKIEJ

5 lipca w sali Świerdłowski na Kremlu odbyła się uroczystość wręczenia wybitnemu pisarzowi polskiemu, aktywnemu bojownikowi o pokój, przewodniczącemu Związku Literatów Polskich, Leonowi Kruczkowskiemu — Międzynarodowej Nagrody Stalinowskiej „za utrwalenie pokoju między narodami”.

Ilia Erenburg, członek Komitetu Międzynarodowego Nagród Stalinowskich „za utrwalenie pokoju między narodami”, wręczył Leonowi Kruczkowskiemu dyplom i złoty medal laureata, składając mu równocześnie serdeczne powinośowania.

Następnie zabrał głos laureat, który z głębokim wzruszeniem podziękował za przyznanie mu tego najszlachetniejszego odznaczenia.

MAURIAĆ ZA ZACIESNIENIEM STOSUNKÓW KULTURALNYCH Z ZSRR

Członek Akademii Francuskiej pisarz Mauriac udzielił wywiadu przedstawicielom czasopisma „France — ZSRR” wydanemu przez Stowarzyszenie „France — Związek Radziecki”.

W obecnej sytuacji — oświadczył on — gdy Europa jest podzielona na dwa obozy, zbliżenie między krajami europejskimi może nastąpić przede wszystkim na polu kulturalnym. Nie jestem zwolennikiem rezygnowania z sojuszu, pragnę jednak, aby Francja zajęła bardziej niezależne stanowisko. Dzięki temu nasze stosunki ze Związkiem Radzieckim urozmaiciłyby się bardziej normalnie i stałyby się serdeczne.

J. P. SARTRE O ZWIĄZKU RADZIECKIM

Jak już podawaliśmy poprzednio, J. P. Sartre gościł przez kilka tygodni w Związku Radzieckim. Zwiedził on wiele

miast radzieckich, m. In. Moskwę, Leningrad, odbył podróż do Uzbekistanu.

Wyjeżdżając z ZSRR oświadczył:

Przyjechałem tu dlatego, że pisarze radzieccy, dając wyraz przyjaźni do pisarzy mego kraju, zaprosili mnie do Związku Radzieckiego oraz dlatego, że chciałem im odpowiedzieć taką samą przyjaźnią. Już dawno pragnąłem poznać bliżej człowieka radzieckiego. Miałem zaledwie 12 lat, gdy rozpoczęła się rewolucja rosyjska. Rewolucja ta stała się głównym wydarzeniem w życiu milionów ludzi i w moim osobistym życiu.

Opuszczam Związek Radziecki dowiedziawszy się o nim niewiele, ale tego co najistotniejsze. Wyjeżdżam zobaczywszy ludzi młodych i pełnych nadziei, ludzi przepojonych pragnieniem zbudowania lepszego świata dla siebie i swoich dzieci, ludzi, przeciwko którym wojna jest nie do pomyślenia, z którymi możliwa jest jedynie przyjaźń. Dlatego składam podziękowanie tym wszystkim, którzy mnie tu zaprosili i którzy stali się moimi przyjaciółmi. Wszystkim im mówię: do zobaczenia.

o filmie

GRAND PRIX FILMU FRANCUSKIEGO

Tegoroczna Grand Prix filmu francuskiego otrzymał reżyser Claude Autant-Lara za film „Le bleu en herbe”. Nagroda ta została mu wręczona na początku lipca br. podczas specjalnej uroczystości zorganizowanej przez Federację Wiedeńską, której tegoroczny laureat jest prezesem.

NOWY TOM „POWSZECHNEJ HISTORII FILMU”

Ostatnio w Paryżu ukazał się nowy tom opracowywanej przez Georges Sadoul’a „Powszechnej historii filmu”. Obejmuje on lata II wojny światowej. Jest to okres niezwykle ważny, w tym czasie bowiem następuje ogromny rozwój kinematografii narodowych wyzwalających się spod wpływu wszechwładnego do roku 1935 Hollywoodu i potężnej produkcji niemieckiej.

Reżyserzy francuscy Louis Daquin, Jean Delannoy i inni produkują filmy o tematyce patriotycznej, film angielski pod przemożnym wpływem Artura Ranka tworzy doskonałą szkołę dokumentalną, a produkcja takich realizatorów, jak Reed, Asquith i Pressburger okuje wielkie nadzieje. Film radziecki mimo niezmiernych trudności wykazuje wielką żywotność. Obrazy stworzone przez Eisensteina, Pudowkina, Emlera i Raismana przedstawiają okrucieństwa wojny i zagzewają naród do walki z najeźdźcą.

ODKRYCIE ZAGUBIONYCH PŁOCIEN MONTAGNY

W Anglii dokonano ostatnio interesującego odkrycia artystycznego, odnaleziono bowiem dwa zagubione płótna Bartolomeo Montagny’ego przedstawiające św. Augustyna i św. Bartolomeja. Jak wiadomo Bartolomeo Montagna żył w Włoszech w okresie od 1450 do 1523 r. Wyształcony na dziełach Mantegna, Belliniego i Carpaccio malował przede wszystkim obrazy religijne. Najszlachetniejsze jego dzieła, to „Madonna na tronie w otoczeniu 4 świętych”, „Noli me tangere”, „Św. Maria Magdalena”, „Znawstwachwały Chrystus z Magdaleną”. Koloryt ich utrzymany jest w typie starszej szkoły weneckiej.

Dwa odnalezione płótna Montagny’ego tworzyły niegdyś boczne części ołtarza, którego część środkową, przedstawiającą ca. Zwiastowanie, od dawna jest już własnością New College w Oksfordzie. Obecnie cały ołtarz odnowiony i zrekonstruowany można oglądać w zakrystii katedry westminsterskiej.

REALISTYCZNE RYSUNKI AUGUSTA JOHNA

W National Gallery w Londynie otwarto wystawę rysunków świętego grafika i malarza angielskiego Augusta Johna. Urodził się on w 1879 roku w Tenby w

Najważniejszym jednak wydarzeniem w historii filmu w tym okresie jest powstanie neorealizmu włoskiego stworzonego przez młodych filmowców antyfałszywego — De Sica’ę, De Santisa, Visconiego, Blasettiego i scenarzystę Zavattiniego.

Największą zasługą księżki Sadoul’a jest, że przedstawiając dzieła filmu na tle ówczesnych stosunków ekonomicznych i politycznych, jeszcze raz wykazuje, jak historia sztuki filmowej wiąże się bezpośrednio z ogólnymi wydarzeniami historycznymi.

o muzyce

WALLI. STUDIOWAŁ I PRACOWAŁ W LONDYNIE, GDZIE KSZTAŁCIŁ SIĘ NA DZIEŁACH RUBENSA, REMBRANDA I GOYI. W TWÓRCZOŚĆ SWOJĄ WLEGAŁ JEDNAK TAKŻE WPLYW WSPÓŁCZESNYCH MALARZY, TAKICH NA PRZYKŁAD JAK PUVIS DE CHAVANNES. SIEGAŁ CHĘTNIE DO TEMATYKI LUDOWEJ DAJĄC ŚWIETNE POSTACIE CHŁOPÓW, WŁOZCZÓW I CYGANÓW NA TLE WIEJSKIEGO KRAJOBRAZU. JAKO RYSOWNIK JEST ZNAKOMITYM, A DZIAŁA JEGO SĄ ZEBRANE W NATIONAL GALLERY W LONDYNIE ORAZ W MUZEACH W LIVERPOOLU, W CAMBRIDGE I W DUBLINIE.

SALVADORE DALI — „NAJWIĘKSZY SZARLATAN WŚRÓD MALARZY”

Wielkie oburzenie w kołach kulturalnych Włoch wywołała wiadomość, iż państwowe wydawnictwo Boskiej Komedii Dantego oddano do ilustracji malarzowi hiszpańskiemu Salvatore Dali. Fakt powierzenia i cyganów na którą w nagrodzenie wynosi około kilku milionów lirów malarzowi protegowanemu przez faszystowski rząd Franco, podczas, gdy tysiące malarzy włoskich cierpi niedzę, wywołał szereg listów protestacyjnych skierowanych do ministra Oświecenia Publicznego w Włoszech, Prof. Lionello Venturi, który określił Salvadore Dali jako „Największego szarlatana wśród dzisiejszych malarzy”, tak pisano w tym zdarzeniu: „Jakie kroki rząd ma zamiar przedsięwziąć, aby odwołać decyzję, która wzbudziła oburzenie całego włoskiego środowiska kulturalnego?”

o literaturze

GRAND PRIX — DLA MONIKI HAAS

Świetna pianistka Monika Haas miłośnicy muzyki poznać z okazji jej występów w Polsce. Podczas ostatniego recitalu w Warszawie, który stał się prawdziwym przeżyciem dla słuchaczy, grała ona „Gawot” — Rameau, „Kreisliedchen” — Schumana, część etюд — Debussy’ego i „III Sonata” Hindemitha. Wysoka klasa tej pianistki potwierdzona została przez przyznanie jej tegorocznej francuskiej nagrody „Grand Prix des disques” za nagranie na płyty cyklu 12 etюд Debussy’ego.

MŁODZI NA ESTRADZIE W KRAKOWIE

Filarmonia Krakowska, za przykładem innych Filarmonii, organizuje co sezon kilka koncertów z udziałem młodych muzyków bądź dyplomatów, bądź też studentów wyższych szkół muzycznych. W roku bieżącym, pierwszy z takich koncertów przyniósł wykonanie „Koriolana” i VII Symfonii Beethovena, oraz koncert wiolonczelowy Schumana.

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze

o literaturze